№ 33. Warszawa, dnia (1) 13 Sierpnia 1898 roku. Rok XL.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu 1 szpalt. lub jego miejsce kop. 12. Nadesłane wiersz 1 szpaltowy garmontu kop. 50

KORESPONDENCYA.

Wisła, d. 28 Lipca 1898 r.

Obiecałam w poprzednim liście opowiedzieć wam o ludzie tutejszym.

Nie mam zamiaru kreślić wyczerpującej rozprawy etnograficznej. Brak mi do tego naukowej podstawy, brak również pilnych i sumiennych studyów, wymagających dużo czasu i pracy. Posyłam więc tylko luźną wiązankę wrażeń i spostrzeżeń.

Przy braku żywszego zainteresowania się krajem ślązkim, jaki jeszcze śród ogółu naszego panuje, sądzę, że niejeden z czytelników i w tem krótkiem bezpretensyonalnem opowiadaniu znajdzie szczegóły zupełnie sobie nieznane.

W kościele.

Dzwon odezwał się po raz trzeci. Gromadki gazdów i gazdzinek, chłopców i dziewcząt, spoczywające dotychczas na ławach dokoła kościoła i rozweselające się po tygodniowej pracy pogawędką sąsiedzką, wstają i spieszą w progi świątyni. Inni z siedzib bardziej oddalonych podążają dopiero drogą.

W powietrzu przejętem jaskrawymi promieniami słońca, mienią się różnobarwne fartuszki (fortuchy), złotem i srebrem haftowane gorsety (żywotki), fałdziste spódnice czarne lub brązowe z niebieską u dołu plisą (kiecki), i szerokie, piękne, czasem staroświeckie wstęgi wieśniaczek tutejszych; zdala bieleją lniane płachty, a raczej obrusy, którymi okrywają się tu starsze kobiety, a na całe to jasne, wesołe tło, padają tu i owdzie brązowe plamy guniek i okrągłych kapeluszy góralskich.

Lud to poważny, cichy, małomówny. Znać, że ci ludzie wiodą w większej części żywot samotniczy, po szczytach gór, po zrębach leśnych, po szałasach pasterskich. Niosą też w sobie jakąś ciszę, jakieś zamyślenie, troskę, czy smutek.

Na pierwszy rzut oka uderza tu szczególna odmienność fizyognomij męzkich i kobiecych. Zdawaćby się mogło, ze to nie są mieszkańcy tego samego kraju, cóż dopiero tej samej wioski. Inne zupełnie właściwości duchowe zdają się wyzierać z twarzy tych górali i góralek- braci i sióstr.

Twarze kobiece prawie wszystkie ładne, mają szczególną w sobie słodycz, coś dziwnie niewinnego, dziewiczego i pogodnego. Górale zbliżeni do typu zakopiańskiego, wysmukli, prawie zawsze wysokiego wzrostu, o rysach ostrych, o twarzach bardzo ogorzałych, robią wrażenie indywidualności samodzielnych, temperamentów namiętnych i skupionych w sobie.

Dzwonek odezwał się raz jeszcze i wszyscy, mężczyźni i kobiety cicho, poważnie wchodzą do białego, czystego kościółka i zasiadają w ławkach, każde na swojem miejscu. Po chwili rozbrzmiewa w powietrzu i rozchodzi się po całej dolinie poważna, uroczysta melodya protestanckiego psalmu.

Tu zaznaczyć muszę, że większość mieszkańców Wisły wyznaje wiarę ewangelicko-augsburską. Wyznanie to zaczęło szerzyć się na Ślązku około roku 1555. Rozpowszechniło się zaś najbardziej pod rządami ks. Cieszyńskiego, Wacława, który gorliwie i nawet środkami przymusowymi szczepił nową wiarę. Pod koniec życia zaszedł w duszy władcy dość pospolity w owych czasach zwrot. Wacław powrócił na łono porzuconego kościoła, i wydało mu się słusznem, by poddani jego znów wraz z nim zmienili swe przekonania religijne. Po prześladowaniu katolików przyszły czasy srośzego jeszcze prześladowania protestantów. Kościoły ewangelickie pozamykano, katolicyzm narzucono przemocą.

Wówczas to podobno zaludniły się pieczary Czantoryi i Malinowej wyznawcami prześladowanej wiary. Od czasu do czasu przyjeżdżał z Węgier, Czech lub Niemiec jakiś pastor wędrowny, jakiś kaznodzieja-fanatyk i zstępował do ciemnych podziemi, a na wieść o przybyciu jego, ze wszystkich gór tajemnemi ścieżkami śpieszyła wierna przekonaniu swemu ludność góralska, by wśród nocy, pod osłoną skalnych ścian pieczary pomodlić się podług sumienia swego. Kaznodzieja głosił *słowo Boże*, lud psalm zawodził powagi pełen i boleści, a echo roznosiło głosy ludzkie po tajemniczych zakątkach jaskini. I musiała tam być w tem wszystkiem i groza wielka, i szczerość straszna, i bunt duchów krępowanych w locie swym ku prawdzie.

Wyznaję, że nie mogę patrzeć bez wzruszenia na te katakumby Beskidu, te ołtarze ofiarne swobody myśli i swobody sumienia.

Mimo zakazów i prześladowań, a może właśnie dzięki im zabroniona wiara w dusze prostacze głęboko zapuściła korzenie. Do dzisiaj, jak zaznaczyliśmy wyżej, ludność Wisły składa się przeważnie z ewangelików. Katolików spotykamy tu zaledwo nieznaczną garstkę.

Swoboda jawnego wyznawania swojej wiary zapewniona została Wiślanom dopiero w r. 1781 edyktem toleracyjnym cesarza Józefa II.

Ubodzy górale korzystając z tej zmiany poglądów najwyższych sfer rządzących zbudowali sobie natychmiast skromny, drewniany kościółek. Ten, do którego teraz pragnę zaprowadzić cię, czytelniku, wzniesiony został w roku 1838. Jest to już jak na ubogą gminę górską budynek wspaniały, murowany, dosyć obszerny, bardzo starannie i czysto utrzymany.

Wchodzimy: ołtarz, na nim krzyż, z boku kazalnica, zresztą ściany puste, jak zwykle u ewangelików. Parafianie wchodzą powoli

i każdy zmierza prosto do swego miejsca w ławce. Na pulpitach spoczywają oprawne w skórę, niezmiernie grube książki do nabożeństwa. Otwieram jedną z nich, przeglądam i znajduję modlitwy, psalmy drukowane gotyckim drukiem w języku... czeskim. Biorę w rękę drugą, trzecią.. dziesiątą—wszędzie to samo. Lud tutejszy, lud czysto polski modli się po czesku. Niektóre z tych książek wydane zostały w wieku XVII i XVIII. Przeważna ilość pochodzi z początków XIX wieku. Zapewne zupełny brak książek polskich na targach Cieszyna i innych miast śląskich zmusił niejako lud tutejszy do nabywania czeskich. Dosyć oryginalne wrażenie robią napisy na pierwszych kartach tych modlitewników, np.: *Johann Cieślar — gazda.* Wszystko to literami gotyckiemi.

Widzę jak zebrani z całą powagą otwierają pozapinane na klamry książki, rozkładają je przed sobą i czytają pilnie—kobiety zwłaszcza. Czy rozumieją? Bóg raczy wiedzieć. Zapewniają, że rozumieją. Może mózgi ich przechowały wspomnienia prastarego braterstwa mowy polskiej i czeskiej. Faktem jest, że lud tutejszy używa zwrotów i wyrażeń staropolskich zapomnianych w innych dzielnicach kraju, może więc i ten kościelny staroświecki język czeski jest dlań bliższym, zrozumialszym, przystępniejszym, niż dla nas.

Zaczyna się kazanie po polsku z zachowaniem niektórych miejscowych właściwości językowych. Opracowanie przemowy, jak zwykle u księży ewangelickich, bardzo staranne. Po kazaniu kapłan poleca modłom zgromadzonych rodziców którzy utracili córkę, dwoje dzieci, które po raz pierwszy właśnie przestąpiły progi kościoła, i t. d.

Po kazaniu znów psalmy, i nabożeństwo skończone.

Kościółek katolicki również murowany nie gromadzi co Niedziela wiernych w swoich ścianach. Raz na dwa tygodnie tylko przyjeżdża wikary z Ustronia dla odprawienia w nim mszy świętej. Za to kilka razy w ciągu roku odbywają się tu odpusty ściągające ludność z sąsiednich gmin z Sztebny, Jabłonkowa, Ustronia i t. d.

W szkole.

Popołudnie było gorące, upalne. Słońce rzucało światu złote promienie swoje; góry słały ku nam swój oddech świeży, silny, który chłodził rozpalone nasze czoła.

Dochodziłyśmy właśnie do szkoły *na Jaworniku*, gdy oczom naszym oryginalny ukazał się obrazek.

Gromadka złożona z trzydzieściorga dzieci szykowała się do pochodu parami pod przewodnictwem młodego sympatycznej powierzchowności człowieka.

Po wzajemnej wymianie nazwisk, towarzyszki moje zwróciły się do nauczyciela z prośbą, by pozwolił nam znajdować się na swojej lekcyi. Ponieważ pozwolenie zostało nam udzielone, i to w jak najuprzejmiejszy sposób, podążyłyśmy za spieszącą na wzgórze dziatwą, niepewne jeszcze, co znaczyć ma szczególny ten pochód.

Po chwili stałyśmy na znacznej wyniosłości.

Przed nami, za nami, dokoła — ustrojona czernią borów, przepasana srebrnemi wstęgami potoków, w całej powadze swojej i krasie — leżała stara ziemica piastowa. Na tej olbrzymiej, przyrodzonej karcie geograficznej, nauczyciel wskazywał małym góralątkom najważniejsze punkta, uczył je sylabizować na niej.

A nam, nauczycielkom zazdrość zawodowa wzbierała w duszach, zazdrość i żal, że naszym miejskim uczniom i uczennicom takiej karty Bożej pokazać nie możemy, że prawiąc im o cudach natury, których one oczyma własnemi nigdy nie widziały, za jedyną pomoc mamy mapy i atlasy, że wysilać musimy całą umiejętność naszą, by pobudzić do działania w tym kierunku ich wyobraźnie dziecinne, i że pomimo to wysiłki nasze są często daremne. A tu oto: góry i doliny, szczyty i przełęcze, wodospady, rzeki i wpadające do nich strumienie, jednem słowem, prócz morza niemal wszystko to, o czem na lekcyi geografii tak trudno dać pojęcie dzieciom urodzonym i wychowanym wśród murów miejskich.

Gdyby mnie zapytano, jak z tego wspaniałego materyału wykładowego korzystał nauczyciel szkoły ludowej w Jaworniku, musiałabym odpowiedzieć, że w sposób zupełnie godny uznania.

Nauczyciel mówił małym góralczykom i góralkom o całym z naszego wzgórza widzialnym świecie.

— Jak nazywa się największy strumień naszej doliny?—brzmiało pierwsze pytanie.

— Nazywa się Jawornik.

I dzieciak wskazuje ręką strumień, szemrzący u naszych stóp.

— Gdzie wpada Jawornik?

— Do Wisły.

— Jak nazywają się otaczające nas góry?

— Czantorya, Czajka, Beskidek, Skalnity, Czarny, Bukowa i t. d.

Dziecko wskazuje dobrze znane sobie wyrchy, ograniczające dolinę, kolebkę jego.

— Za którą górą zachodzi słońce 21 Czerwca? A za którą wschodzi? Za którą zachodzi 21 Grudnia? i t. d., i t. d. Jak nazywą się gmina, w której mieszkamy?

Następują pytania dotyczące granic gminy, potem granic Ślązka, narodowości, języka, stosunków państwowych i krajowych.

Postępując dalej podług tej metody, nauczyciel rozwija zapewne przed uczniami coraz dalsze widnokręgi, i coraz mniej wdając się w szczegóły, dostarcza im wiadomości ogólnych o krajach Europy, potem o innych częściach świata, wreszcie o całym globie naszym i międzyplanetarnem jego położeniu. Metoda ta w umysłach pedagogów zyskuje dziś stanowcze pierwszeństwo przed dawną, która nakazywała zaczynać naukę geografii od wiadomości o kuli ziemskiej, obrotu jej około słońca i t. d., to jest od rzeczy najniedostępniejszych głowom dziecinnym.

Gdy tak stojąc na wzgórzu przysłuchiwaliśmy się lekcyi *po amerykańsku* prowadzonej, mimo uznania dla kierowników szkolnictwa ludowego, dążących tak pilnie za postępem, mimo szczerej sympatyi dla nauczyciela przejętego widocznie swem zadaniem, w głowach naszych powstawały tłumy zapytań, niejedno słowo nauczyciela lub odpowiedź dziecka dysonansem zabrzmiały nam w uszach, i wrażeniom tym trudno się było opędzić.

Po lekcyi geografii nastąpiła lekcya botaniki. Zerwana z najbliższego drzewa kwitnąca gałązka lipowa dostarczyła materyału do pogadanki. Po skończonej lekcyi dzieci zaśpiewały dość poprawnie kilka piosenek. Nauczyciel zapewniał nas, że w lecie niepodobna tu prawie prowadzić nauki śpiewu. Dzieci zajęte pasaniem bydła po halach, dzień cały śpiewają, a właściwie krzyczą, i na lekcye przychodzą tak zachrypnięte, że ani jednego czystego tonu z piersi wydobyć nie mogą.

Obdarzone gałązkami lipowemi, które tu są niejako symbolem polskości (wszystkie polskie stowarzyszenia, szkoły i t. p. na wycieczkach przystrajają się gałązkami lipy; niemieckie używają dębowych), pożegnałyśmy nauczyciela powróciłyśmy do domu.

Wanda.



MARYA RODZIEWICZÓWNA.

KĄDZIEL.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

— Co wiem, to wiem! Jawnogrzesznica jest, w kościele nie bywa — ma cukiernicę z trupiej głowy podobno, w piątek nie pości, żyje źle z matką. A kto to wie, może się i nie spowiada nigdy. Progu tego moja noga by nie przestąpiła, ale czy u nas jest opinia!—i westchnęła.

Wawelski machnął ręką i zasiadł do winta, wiedząc, że żony nie przegada.

Rzeczywiście Kazio raz tylko z matką odwiedził Ozierskie na nowej siedzibie, i potem więcej się nie pokazał. Wogóle stosunek między niemi się zmienił, a i Kazio nie był już ten co dawniej. Zpoważniał, zesztywniał, nie wyciągał jej po dawnemu na zwierzenia, i sam nic o sobie nie mówił, prowadząc rozmowę ogólnikową, jakby czemś znudzony czy zmęczony. Pani Taida stękała przed Ozierską, że coraz jej ciężej podołać obowiązkom gospodarskim, a że syn ani daje sobie wspomnieć o małżeństwie, zacinając się na wzmiankę o tem w posępnem milczeniu.

Utyskiwały potem obie nad tem, ale żadnej nawet na myśl nie przyszło, że chłopak krył w sobie uczucie bez nadziei, gryzł się i cierpiał, ale ani go zapomnieć chciał, ani zmienić.

Zaciął się w swej stałości i wyborze; żadnej innej nie chciał, ani tej nie opuszczał, tylko bojąc się zdradzić, osłabnąć, nie dotrzymać danej obietnicy milczenia, na stosunki szczersze i częstsze już sobie nie pozwalał.

I tak mijały Stasi miesiące w pracy i spokoju. Nadszedł dżdżysty, zimny Marzec, coraz więcej było roboty, poczęto ją wzywać do wsi okolicznych, grasował bo wszędzie krup i dyftéryt, dzieci marły jak muchy, a Fijolski zapadł na swe reumatyzmy i ruszał się chyba na wezwanie najlepszych znajomych.

Pewnej nocy zachorował synek pani Klary Wawelskiej, jedynaczek pieszczony i cackany. Wawelskiego nie było w domu, wyjechał na robotę, pani Klara nieprzytomna z rozpaczy, posłała służącą po Fijolskiego. Na dworze była pora straszna, deszcz ze śniegiem padał, wicher wył, z nóg obalał, błoto było po kolana w niebrukowanej mieścinie.

Po długiem, strasznem oczekiwaniu, służąca wróciła z niczem. Fijolski ją odprawił, nagryzmoliwszy jakąś receptę na niewidziane, bo sam chory, przyjść nie mógł, powiadał.

Pani Klara poczęła sobie włosy drzeć, płakać i złorzeczyć, dzieciak rzęrzał i gorączkował.

— Chyba iść do panienki? — rzekła nieśmiało służąca, która znała drogę do Stasi i u niej się leczyła pokryjomu przed swą chlebodawczynią.

— Idź, proś! Niech mi dziecko ratuje! Ale i ona nie zechce, mój Boże! — jęczała pani Klara, rzucając się na kolana przy dziecku.

— Bylebym ją zastała w domu, bo teraz to ją rozrywają na wsze strony.

— Mój Boże! Może do mnie przyjść nie zechce. Powiedz, że ją na klęczkach błagam, albo nie mów do kogo, aż w drodze. Idź, idź!

Służąca poszła i znowu minuty zdawały się wiekami dla matki.

— Nie przyjdzie! Nie zechce! Wie pewnie com o niej mówiła, łaskawi pewnie donieśli! Teraz się zemści! O ja nieszczęśliwa! Mój skarbie, mój Konrasiu śliczny!

I patrzała z zawiścią na troje pasierbów, którzy w sąsiednim pokoju spali zdrowi.

Ale oto skrzypnęły drzwi sieni, pani Klara wybiegła naprzeciw służącej.

— A co? Nie zechciała przyjść! — krzyknęła.

— Owszem! Jestem! — odpowiedziała Stasia, podnosząc latarnię i rozglądając się.

A gdy oniemiała Wawelska stała jak słup, zdjęła z siebie ociekający wodą płaszcz gumowy i dodała swobodnie.

— Pozwoliłam sobie posłać pani służącą wprost do apteki, dla pośpiechu. Dziecko ma krup?

— Ach, proszę pani, jeśliby miało umrzeć, ja tego nie przeżyję. A tu doktór ten bez sumienia, nie chciał przyjść!

— Nie tyle bez sumienia, co bez nóg! — odparła Stasia. — Cóż robić, musi się pani zadowolnić moją poradą. Chwilę, muszę się ogrzać. Czy dziecko dawno zapadło?

— Od wieczora! Ach pani! dla matki to wieki. Jeśli go pani mi uratuje, co mam oddam z wdzięcznością. Proszę, proszę do salonu.

Stasia weszła, i rozcierając ręce rzekła swobodnie:

— Doktór Fijolski nie w porę zachorował. Przy tej epidemii i trzech lekarzy byłoby tu za mało.

— To dla pani pomyślnie! — rzekła pani Klara.

— Dlaczego? Przeciwnie, bo nie jestem w stanie podołać.

— Ale finansowo pomyślnie.

— Myli się pani. Ja leczę tylko bezpłatnie.

— Wszystkich? Jakże to być może?

— Szczęściem, nie potrzebuję leczyć, aby żyć. Zatem żyję, żeby leczyć! Ale, otom gotowa. Możemy przejść do chorego. Spieszno mi, bo już na mnie czekają konie.

— I pani pojedzie za darmo na taki czas?

— Nie mogę czekać na pogodę.

Weszły do sypialni i Stasia umilkła, zajęta tylko dzieckiem. Obejrzała go troskliwie, zbadała gorączkę, stan płuc i gardła. Wtedy się zwróciła do matki i rzekła:

— Nie obejdzie się bez operacyi?

— Boże! Chce mu pani sama, bez konsylium gardło rozcinać.

— Cóż znowu! — ruszyła ramionami i dobywając z torebki igłę i flakonik, dodała, odkrywając kołdrę z dziecka — niech mi pani poświeci!

— Pani go zabije! — jęknęła Wawelska. — Mój Boże, a tu ja sama, nieszczęsna Ani męża, ani doktora.

Stasia popatrzała na nią surowo, chciała coś ostro rzec, ale się pohamowała na głośniejsze chrapanie dziecka, sama wzięła świecę, ustawiła ją wygodnie i zastrzyknęła surowicę; zanim się Wawelska obejrzała, operacya była skończona.

W tej chwili wróciła służąca z lekarstwem.

— Po panienkę przyszły konie z Rudy! — rzekła. — Szukały po całem mieście i z apteki tu furman zajechał. Tam podobno u ekonoma już dwoje dzieci zmarło, a trzecie dogorywa.

Stasia wzięła z jej rąk miksturę i pierwszą łyżkę sama dała dziecku, potem pogładziła je po główce i spojrzała na panią Klarę.

— Będzie zdrów, niech pani sama się uspokoi i zaśnie, lekarstwo co parę godzin, jeśli nie będzie spał! Proszę być dobrej myśli!

Skinęła jej głową i wyszła. Wawelska zawstydzona, rzuciła się za nią do sieni, ale już nie zastała nikogo.

Do rana chłopak był uratowany; pani Klara coraz bardziej zawstydzona i z siebie nierada. Wobec odwiedzających kumoszek poczęła napadać na Fijolskiego.

— Udaje próżniak chorobę, żeby się nie fatygować. Z łez naszych i nieszczęść fortunę zebrał, a teraz ani dba o chorego. Musiałam sprowadzić Ozierską.

— Aaa! — zdziwiły się kumoszki. — No i jakże? — przyszła? Rozumie też cokolwiek?

— Przyszła zaraz. Bóg się nademną ulitował, bo ona mało co dała. Mówiła o operacyi, alem nie pozwoliła, więc my tylko pod skórę zastrzyknęła, zapewne morfiny na sen, i zostawiła miksturę. Ale co gadali, że ona taki dziwoląg, to bajki. Taka sobie zwyczajna, ale zawsze co kobieta, to kobieta. Maleństwo pogładziła, delikatnie obejrzała, że nawet się nie przelękło.

— A pieniądze wzięła? — ktoś spytał.

— Nie miałam głowy. Mówiła, że darmo leczy, ale przecie my łaski nie potrzebujemy. Gdy tylko mąż wróci, odeszlę pieniądze.

— Naturalnie. My nie żebraki — zawtórowały panie.

A właśnie wózek Wawelskiego się pokazał za oknem, i po chwili on sam wszedł.

— Jakże dziecko? — zagadnął niespokojnie.

— Dzięki Bogu, lepiej! — odpowiedziano mu chórem.

— Któż ci doniósł, że chore? — spytała żona.

— Spotkałem Fijolskiego. Powieźli go do hrabiego; szlag go trafił! Przepraszał, że do nas przyjść nie mógł, żeś go wzywała.

— Nie mógł, nie mógł! A do hrabiego to może!

— Ba, przysłali powóz. Ale panna Ozierska przyszła, daj jej Boże zdrowie, no i pomogła. A widzisz, ogadywałaś ją, kobieto, i wstyd teraz!

— Nigdym nie ogadywała. Powtarzałam, com słyszała. To Fijolski wymyślał. On ją szkalował przez zawiść.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Książę Bismarck.

W dniu 30 Lipca r. b. zmarł we Fridrichsruhe pod Hamburgiem książę Otto Bismarck, były minister króla pruskiego, kilkakrotnie ambasador Prus przy różnych dworach Europy, a ostatnio kanclerz zjednoczonych Niemiec i pierwszy minister tego nowego cesarstwa. Pomorzanin pochodzeniem, przyniósł ze sobą na świat niepospolitą żywotność fizyczną, zdolności może nie pierwszorzędne, ale doskonale zrównoważone, co wszystko razem wzięte wraz z pochodzeniem, kierunkiem wykształcenia, jakie odebrał, skłonnościami osobistemi, ambicyą, a głównie dążeniami Niemiec współczesnych, ukwalifikowało go na tak zwanego ogólnikowym terminem: człowieka stanu.

Był nim niezaprzeczenie. Poznał tę trudną sztukę robienia rzeczy możebnych, a że miał siłę woli i wytrwanie niezwyczajne, że umiał chcieć i czekać, a doczekawszy się skorzystać, że nadto nie bawił się w skrupuły i wybór środków, nie dziw że historya drugiej połowy stulecia—notabene, ta historya rozproszona po łamach dziennikarskich, zapisała pod jego imieniem więcej, niż pod jakiemkolwiek z żyjących współczesnych mu ludzi zajmujących się polityką czynną.

Co powie kiedyś historya prawdziwa — nie ta, którą piszą panegiryści i pochlebcy, ale ta, która jest wielkim i niepomylnym sądem dla wielkich a pomylnych — o tem przekonają się z czasem ci, którzy czytać będą jej wyroki wolne od namiętności stronniczych, nienawiści plemiennych, i kadzideł płatnych, bo i tych ostatnich zmarłemu, jak wiadomo, nie szczędzono za życia.

Wrzawa, która się podnosiła dokoła jego osoby, gdy był czynnym, przetrwała jego polityczną działalność, i pełno jej było jeszcze przez czas długi w tem wspaniałem ustroniu, z którego pożegnany przez młodego władcę Niemiec dosyć sumarycznie wszechmocny niedawno kanclerz, słał swoje gromy jawne i ukryte — zarówno skuteczne i raniące boleśnie, jak i takie, które zdradzały już tylko swarliwość starca i niezagojoną ranę odsuniętego ambitnika.

Było tego wszystkiego bardzo wiele dla Niemców — obcym osłuchało się to, i oddawna przestało budzić interes.

Etapy, którymi zaznaczył w polityce inicyatywę swoją, są liczne i doniosłego znaczenia dla bytu wielu państw i narodów. Osłabienie wpływu Austryi na sprawy Niemiec, zdobycie Szlezwigu-Holsztynu, stanowczy pogrom Austryi, klęska zadana Francyi, wraz z przyłączeniem do Niemiec dwóch prowincyi, ufundowanie na podstawie tego ostatniego podboju cesarstwa Niemieckiego pod hegemonią Prus, oto wypadki, których bez jego imienia poruszać dzisiaj niepodobna.

Ktoby chciał z tych faktów pełnych znaczenia wyprowadzać wnioski o wdzięczności, jaką mu winien został naród niemiecki, ten potrzebowałby w każdym razie wpierw udowodnić, co na przeobrażeniu zyskali ci Niemcy, którzy nie są Prusakami, i do jakiego stopnia się ta hegemonia Prus z duchem niemieckim i z ideałami niemieckimi harmonizuje. Bez tego błądzi się ciągle w sądzie po manowcach sprzeczności, i unosi na powierzchni kwestyi.

Gdybyż się byli Niemcy urządzili tak, jak chcieli, i jak im ich dojrzałość pozwalała, niebyłoby ich zjednoczenie tak zaciężyło światu, jak zaciężyła akcya Bismarckowska. Oto jedyna prawda — reszta to ckliwe bezkrytycznego dziennikarstwa powtarzanki.

O traktatach późniejszych, o przymierzach i kontrprzymierzach, o matactwach różnych i knowaniach, zawsze wysoce podejrzany dobrej wiary, których był autorem niezaprzeczonym, wspominać nie będziemy, chociaż przekonani jesteśmy, że w owym wielkim dekrecie, który Bismarckowi wypisze kiedyś potomność, znajdzie się miejsce na wszystko.

Dobry, praktyczny i zręczny polityk a wielki człowiek, to przecież wcale nie jedno i to samo. Kładziemy z rozmysłem nacisk na to rozróżnienie, bo szowinizm upojonych zwycięztwami ostatniej epoki Niemców, zbyt często łączył nazwisko swego kanclerza z epitetem „Wielki.“

Jest dość ludzi, którzy żywią poważne wątpliwości, azali przyszłość zatwierdzi to połączenie.

Niemcy byli i są wielkim narodem, i mimo ich niedawnego jeszcze politycznego rozbicia na drobne niezależne państewka, nikt im nigdy praw do tej wielkości nie kwestyonował. Ale podobnie jak w panteonie niemieckiej chwały żadnego z miejsc naczelnych nigdy nie zajmował i nie zajmie Fryderyk II-gi, tak samo wątpić należy, aby w rzędzie tylu ich myślicieli, uczonych, geniuszów, przyjaciół ludzkości i patryotów, odnaleziono z czasem człowieka, który streściwszy się cały w swojem niezapomnianem: „siła przed prawem” ze wszystkiemi istotnemi zdobyczami cywilizacyi niemieckiej, i z jej pojęciami o prawie, w rażącej stanął sprzeczności.

Nie odróżniać ducha niemieckiego od wskazań Bismarckowskich, byłoby to wyrządzić niemieckiemu narodowi niezasłużoną krzywdę, a świeżo zmarłemu apostołowi siły brutalnej, niezasłużony honor. Byłoby to wreszcie bezpożytecznym tylko aktem małoduszności ze strony jakichś bałwochwalców powodzenia, bo sprawiedliwość dziejowa przejdzie niechybnie mimo wszystkich podobnych uwielbień chwilowych, i fałszywych entuzyazmów.

Że każdy Fryderyk II znajdzie swojego Macaulaya, niewątpi nikt z tych, dla których wymiar sprawiedliwości w dziejach stanowi artykuł wiary.

Jakoż znamion indywidualnej wielkości duszy niedoszukiwać się w życiu i karyerze tego człowieka. Nie jest on wielkim, kiedy podziemnemi knowaniami prowadzonemi we Francyi, przygotowuje drogę zwycięzkiemu pochodowi Niemców. Nie jest wielkim fałszując tekst depeszy, która przyspiesza wojnę. Nie przynosi mu również zaszczytu dopomaganie do wojny domowej narodu francuzkiego. Ani mściwość, jakiej na każdym kroku daje dowody, ani urąganie nieszczęściu zwyciężonych podczas rokowań pokojowych, w które hojny był bardzo książę z Favrem i Thiersem, jako pełnomocnikami pokonanej Francyi, ani programem objęty powtórny i ostateczny jej rozgrom, który z machiawelizmem prawdziwym ku zagładzie tego narodu osnuł i przygotował, nie należą do dzieł znamionujących wielkość ducha. To się praktykuje, to przynosi owoce i daje powodzenie, ale wielkiem nazwać mogą takie sprawy tylko umysły pospolite, albo obłąkane namiętnością.

W sprawach wewnętrznych Niemiec nie imponuje bezstronnemu sądowi książę Bismarck żadnym aktem, któryby go nad przeciętnego człowieka stanu nb. człowieka rozpartego na zdobytej sile, wynosił. On ma już tę siłę, a mimo to nie gardzi żadnym ze środeczków małych, nie wstydzi się swojej metody tuzinkowego wytrawiania jednych stronnictw przez drugie. Dziś karesuje feudałów, jutro szczuje ich Lassalem, pojutrze wyrzuca Lassala za drzwi, i znowu naodwrót, i tak ciągle, aż do niesmaku i obrzydzenia. Nie cofa się przed zorganizowaniem prasy gadzinowej i deprawowaniem przez nią ducha narodowego. Depce po przedstawicielstwie swojego kraju, potrąca je wzgardliwie, urąga i wyzywa.

A kłamie, żelazny książę — kłamie jak gdyby w istocie żelaznym nie był, i w dodatku chętnie się tem chlubi, ile razy mu kłamstwo dobrze usłuży.

Choćby połowa — tylko była prawdy w tem co mówią o relacyach księcia Bismarcka z Bleichröderem, wystarczyłoby i tego, aby ostudzić wszystkie dla jego osoby wykrzykniki i uwielbienia. Bo doprawdy rozważmy rzecz bezstronnie. Osobista przychylność monarchy i szczodrobliwość narodu upojonego zwycięztwami, i tak zrobiły przecież z chudego junkra z Schönchausen, jednego z najmożniejszych materyalnie magnatów niemieckich. Jakże można było po tem wszystkiem co mu dano, drapać tak chciwie — w tak nielojalny sposób i tak cynicznie? Nieszczególnym szacunkiem otaczane są bądźco bądź przez dzisiejsze nawet pobłażliwe społeczeństwa, indywidua powstałe z gry giełdowej. Gra ta jest już oddawna osądzona i dwóch zdań uczciwych w tej mierze być nie może. Ale przecież gra kanclerza Bismarcka, to nie ta sama, co pierwszego lepszego zadyszanego żyda. To jeszcze co innego zupełnie oh! — oh! — oh! Ten żyd marny a wstrętny, naraża się przynajmniej w tym pojedynku, ryzykuje, rzuca własne mienie na hazard. Żelazny książę na wet tego usprawiedliwienia nie znajdzie przed sądem historyi. Pierwszy minister kiedy gra, to gra napewno — to fakt, który się najwymyślniejszą sofistyką nie przeinaczy, a to jest sobie brudzik przecież, którego żaden żelazny ani spiżowy, jako żywo nie dopuścił się dotąd. Żaden Waszyngton ani Hoche — żaden Cavour ani Garibaldi nie płacili sobie w ten sposób za usługi oddane ojczyznie.

Rozważywszy pojedyncze takie i tym podobne rysy indywidualne tego człowieka, musi dzisiaj już przyznać bezstronny umysł, iż to wszystko razem wzięte nietylko nieprzypada do miary żadnego wielkiego charakteru, ale wszelką nawet myśl o przystosowaniu owego epitetu do osoby księcia Bismarcka czyni bezwarunkowo niemożebną.

W aforyzmach i odezwaniach się swoich jest mniej niż miernym ten książę żelazny, chociaż naród prusaczy z niezmierną dumą wiele ze słów jego powtarza. O tem naprzykład, że Niemcy nie boją się nikogo prócz Boga, żal się Boże światu powtarzać, bo choćby ten świat o Grunwaldzie zapomniał, to mu przecież niedawna Jena z pamięci nie wywietrzała, że już o wielu innych epizodach tego samego rodzaju nie wspomnimy przy tej okoliczności.

Nic nie może być szczytnem — co nie jest prawdziwem.

Tężyznę ludzką w rozumieniu pospolitem widzimy w tym człowieku — w wielkoduszność i w potęgę duchową podnioślejszą uwierzyć nie sposób, bo na nią niema dowodów.

Że umiał nienawidzieć to fakt — śladów tego, aby miał jakieś wielkie miłości swoje — niema żadnych.

Mają jednakże takie miłości ludzie i na tem stanowisku, które on zajmował, i na wyższych nawet. On umiał się w życiu bez nich obchodzić.

Co do nas, to możemy sobie przyznać, że zaszczyceni byliśmy stałą i głęboką nienawiścią tego niby żelaznego księcia. Dziwićby się należało gdyby było inaczej. Są przecież żywioły odpychające się wzajemnie. Mógł jednakże i tutaj być, przy sile swojej, mniej napastliwym, zaciekłym i drapieżnym, ale to znowu potrąca o ową wielkość, albo o nizki poziom duchowy człowieka.

W każdym razie będzie mu w czasie policzonem i to, czem się w losach naszych zaznaczył — o to spokojni być możemy.



PARYŻ.

Emila Zoli.

SPRAWOZDANIE.

(Ciąg dalszy).

Przebiegając bogate dzielnice Paryża nie bez zdziwienia zauważył ksiądz Piotr po razy kilka obciążoną workiem z narzędziami przygarbioną postać tego Salvat napotkanego przypadkiem w ruderze, zamieszkałej przez wszelką nędzę, dzisiejszego ranka. Była to fizyognomia, której zapomnieć trudno, a zresztą wśród zbytku miasta takie łachmany i taki wyraz twarzy koniecznie muszą zwracać uwagę najmniej nawet bacznego przechodnia. Bo i co on w istocie robić mógł tutaj z tym swoim workiem, z którego wystawała okrągłość jakaś — zapewne chleb kupiony dla dziecka i jego matki? Przecież pracy na tym bulwarze dla niego być nie mogło, a to krążenie niezmordowane dostrzeżone po raz już któryś w ciągu kilku godzin, zaczynało nabierać szczególniejszego znaczenia w przekonaniu księdza Piotra — znaczenia, którego sobie ten ostatni bliżej nieformułował, ale które niby jakieś ostrzeżenie mistyczne, przejmowało go dreszczem pełnym grozy niewymownej.

Są niewątpliwie takie przeczucia niczem pozornie nieusprawiedliwione, i takie wstrząśnienia mimowiedne na widok pewnych rysów — pewnego spojrzenia człowieka, które dopiero po fakcie występują dla nas wymownie niby znak zapowiedni — niby szept przeznaczenia, którego na razie odgadnąć nie umieliśmy.

Dopiero kiedy się już dobrze miało z południa, odesłany przez księżnę Harth do baronowej Duvillard, zbliżał się ksiądz Piotr ku hotelowi finansisty, zatroskany zawsze o jedno, to jest o nadmierną w sprawie tego biednego Laveuv'a przewłokę. Ale i teraz jak cień przemknął jeszcze przed nim Salvat, tylko spojrzawszy nań zblizka zauważył ksiądz Froment, że mimo całodziennej włóczęgi, chód tego człowieka był szybszy, pewniejszy, jakby zdecydowany jakiś. Niedość tego było, bo naraz dojrzał obok niego inną ieszcze postać, tak blizko sobie znaną, tak drogą niegdyś—postać rodzonego, o kilkanaście lat starszego od siebie brata, Wilhelma Froment. Rozdzieliło ich życie, rozdzielił gniew matki, oburzonej na starszego syna za jego związek nieulegalizowany i niechrześcijański z kobietą młodą, równą mu pozycyą towarzyską, światłem — z kobietą, która mimo, że miała matkę, a nawet za jej wiedzą i upoważnieniem zdecydowała się na taki stosunek, potępiony dotąd bezwarunkowo przez opinię całej społeczności.

Ta matka i tych dwoje młodych należeli do zastępu pogniewanych ze społecznością. Źródła takich gniewów, jak wiadomo, szukać należy za dni naszych we wszystkich analogicznych wypadkach, w bezsilnej zawziętości umysłów młodych, żądnych nowości, przeciw ustawom społecznym uważanym przez nich jako krępujące wolność indywidualną.

Tak też było i tutaj. Reformatorami byli ci oboje i dlatego urządzili sobie życie jak im się wydawało najrozumniejszem; o wiele mniej zrozumiałą jest ta matka i w tem co samego sposobu połączenia się córki z wybranym przez nią człowiekiem dotyczy, i całego późniejszego jej zachowania się po śmierci tej córki wśród pozostawionej przez nią rodziny. Ta matka jest bodaj że najpracowiciej, a przeto dla krytycznego czytelnika, i najniezdarniej skłamaną kreacyą w całej powieści Zoli, tak jak się to zwykle zdarza autorom, gdy gwałtem chcą dowieść niepodobieństwa życiowego, i do tego celu nie wahają się naciągać faktów i sytuacyj wbrew oczywistości i prawdzie. Ale to już zostawić musimy w opowiadaniu naszem na później; obecnie idzie nam o to, że Wilhelm Froment zerwał z rodziną, i że nawet młodszy brat jego Piotr, jako człowiek normalnie myślący a nadto jako duchowny gorliwy i asceta szczery, stosunku tego latami całemi nie próbował odnowić. O tem, że cały sposób myślenia Wilhelma Froment był w harmonii z zapatrywaniami jego na rodzinę, zbytecznem byłoby wspominać. A teraz po tem objaśnieniu niezbędnem powróćmy do przerwanego opowiadania.

Dziwi się ksiądz Piotr, co może mieć wspólnego ten uczony naturalista z tą ponurą postacią wylęgłą w zaułkach nędzy i upadku Paryża, ale niebawem widzi ich rozdzielających się, przyczem Salvat ma pozór człowieka idącego za swojemi sprawami, a Wilhelm wygląda na takiego, który go zdala śledzi z niepokojem. To co w chwilę po tem nastąpiło, ksiądz Piotr bardzo chaotycznie w pamięci zachował. Wiedział tylko że zbliżając się do hotelu Duvillard'a usłyszał huk ogłuszający, a wraz z nim lecące na bruk szyby wszystkich blizkich domów; przypomniał sobie wysadzony portyk, podruzgotane ornamenty bramy, dym oślepiający, a na ziemi nieżyjące kilkunastoletnie dziewczę. Bezpośrednio potem zbliżył się doń ten brat zapomniany oddawna, z okrwawioną ręką, i zaklinał aby go zabrał do siebie, aby ukrył, bo jako ranny w katastrofie mógłby być pociągniętym do zeznań, a tych pragnie on uniknąć za wszelką cenę. Prosił przytem, aby go o nic nie pytać — nie badać — nie dochodzić. Mógł tedy ksiądz Froment domyślać się rzeczy najgorszych i tylko kilka słów urywanych, ktore półgłosem do siebie wymówił w drodze raniony, uspokoiły go cokolwiek.

„Najwyraźniej skradł mi jeden ładunek. .— szeptał - wielkie szczęście, że tylko jeden... inaczej byłaby wyleciała w powietrze cała dzielnica."

A więc to nie on — nie Wilhelm był autorem bezpośrednim tego potwornego zamachu; to tamten człowiek o ponurej twarzy, ten Salvat tajemniczy, ale zkąd między nimi stosunek?— co łączy tych ludzi z dwóch krańców społeczności? oto były myśli, które poruszonego w najwyższym stopniu młodszego brata zajmowały w ciągu drogi. Na miejscu wszystko układa się jak najpomyślniej. Stara służąca księdza Piotra znała obu braci dziećmi jeszcze, bezpieczeństwo zatem okaleczonego odłamem bomby zapewnione, a jakgdyby deus ex machina zjawia się też ich wspólny przyjaciel Bertheroy, który pomimo że obecnie ugrzązł zupełnie w nauce chemii, jednakże swoich studyów lekarskich niezapomniał wcale. Opatruje on rękę tego niegdyś ucznia swego wielce cenionego, z całą gorliwością, zapewnia, że tak bardzo źle nie jest, a przy tem wszystkiem bada pacyenta, co on też myśli o substancyi wybuchowej, która tam odegrała rolę, bo że środka eksplodującego równej siły nie znała dotąd nauka, to niepodlega wątpliwości. Wilhelm prosi aby go nie naciskał jego mistrz dawny, niemniej jawnem jest już nietylko dla Piotra Froment, ale i dla czytelnika, że jeśli ktoby mógł dać objaśnienia co do tego, to tylko on jeden, ten chory obecnie, który na sobie samym wypróbował najpierw siły swego wynalazku.

Ostatecznie Wilhelm zainstalowanym jest na tem nowem mieszkaniu na czas nieograniczony. Miłość między braćmi zawiązuje się gorąca, tak, że ten ksiądz reformator, ten marzyciel, który najlepsze siły swego życia sterał w walce o sprowadzenie kościoła do prostoty i doskonałości pierwszych czasów chrześcijaństwa, oswaja się i godzi potrochu, z całą sferą dążeń, przekonań kierunków, które mu w osobie ich przedstawicieli najróżnorodniejszych, wraz z tym bratem spadają na głowę. Kto bo też w tej samotni nie odwiedza tego Wilhelma? jakich to starć opinii i przekonań nie wysłuchuje ten niegdyś ascetyczny ideolog? komuniści, kollektywiści, anarchiści, wszystko to naznacza sobie schadzki przyjacielskie, odwiedzą współwyznawcę swego Wilhelma Froment, przynosi mu wiadomości ze świata, opowiada co słychać na mieście, w izbach — jakie wrażenie wywarł zamach i jakie przypuszczalnie będą jego następstwa. Dla radykałów nic pocieszającego oczywiście; opinia jest oburzona, a ten głupi, tchórzliwy, mieszczański Paryż, nie składa żadnych dowodów na to, aby mu po myśli było, że jego najprzedniejsi patryoci łamią sobie głowy nad uszczęśliwieniem go za pomocą wysadzania w powietrze całych dzielnic. Przysłuchując się za sprawą Zoli tym debatom, a wezwawszy w pomoc wyobraźnię, widzi się jak gdyby żywy taki wiec nowoczesny i zarazem przypomina się właściwe dlań Lafontainowskie określenie z bajki:

D'unimaux malfaisants c'etait un fort beau plat.

Jeden tam jest tylko starej daty republikanin, który trzy czwarte życia przepędził w różnych więzieniach, broniąc wolności i ukochanej przez siebie formy rządu—niejaki Barthés, ale na tego patrzą tutaj jak na wcieloną utopię, jak na mamuta zaskorupiałego w swojem wstecznictwie; tu wszystko się pojmuje tylko przez anarchię czystą i nieograniczoną niczem. Piotr Froment dziwuje się niezmiernie.

Przychodzi jednak konieczność dla Wilhelma uspokojenia co do osoby swojej rodziny, a choć stara służąca zaniosła tam w pierwszym dniu wiadomość, ale teraz okazuje się potrzeba szczegółów, wyjaśnień, zażądania

ztamtąd wieści, a tego wszystkiego nikt nie może dokonać, tylko jeden chyba brat rodzony. Jakoż Piotr Froment decyduje się.

Na drogę odbiera instrukcyę od Wilhelma, aby uspokoił rodzinę, a nadewszystko, aby teściowej, pani Leroi, oddał kluczyk, przypominając zarazem zalecenie, jakie zostawił raz na zawsze na wypadek gdyby mu się przytrafić miało nieszczęście. Ona już wie co to znaczy—więcej nie trzeba, aby spełniła to co do niej należy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NAZNAKOWANY.

Kartka z życia naszego ludu.

(Ciąg dalszy).

— Urodziwy był z niego chłopak i bez tego, ale teraz będzie jeszcze piękniejszy—mówił razu jednego, pokazując nań, któryś z parobczaków wiejskich.

— Był zyz, a teraz został kuternogą w dodatku, żeby mu tak jeszcze poszycie przypalić na czerwono, toby mu już nic nie brakło.

— Dy i tak będzie naznakowany jak wypada.

— Teraz pojął Marek naprawdę, co to znaczy ten „naznakowany."

Lata mijały; Marek sięgał już dziesiątego roku życia i powoli przechodził z pastucha na robotnika. Dumnym go to robiło niesłychanie, chociaż śmieszność ścigała go i tutaj na każdym kroku, choć nie było upokorzenia, któregoby mu równiennicy oszczędzili. Raz pozyskawszy nie wiedzieć za co przydomek głupiego Marka, zrósł się z nim i dźwigał wszystkie takiego smutnego imioniska ujemne właściwości i następstwa. Nie zrażało go to jednak do ludzi bynajmniej — owszem, wyszydzony i odpychany garnął się, zasługiwał, pragnął przejednać powolnością. Kto zna wnętrze życia naszych gromad wiejskich ten zrozumie, że jest to metoda jedyna, żeby nigdy nie wybrnąć ze smutnej roli, jaką jednostce takiej bezmyślna złość naznaczyła. Podczas gdy parę dosadnych w stosownej chwili rozdanych kułaków, odrazu oczyściłyby pole i zrównały w prawach z innymi, nieśmiałość, obawa narażenia sobie gorszego jeszcze niechętnych, spychają coraz niżej i wywołują coraz nowe prześladowania.

Było lato. Po połowie Czerwca rozpoczęły się sianokosy i na dworskich łąkach w Zalesiu z pięćdziesięciu robotnika różnego wieku i wzrostu gromadziło pokosy na wały, aby je przed wieczorem skopić, bo też i na zachodzie nieosobliwie się jakoś na dzień jutrzejszy zapowiadała pogoda. Około czwartej po południu zrobili między sobą naradę dwaj karbowi, a obliczywszy czas jaki do wieczora pozostawał, i ilość potrzęsionego siana, postanowili zawołać na krótki podwieczorek, a potem, jak się to zwykło mówić, popędzić robotę całą siłą.

— Przetrzymają po zachodzie—ani chybi—mówił starszy wiekiem, osiemnastoletni może wyrostek, do kilkunastu chłopaków, leżących w odosobnionej grupie na uboczu.

— Co nie mają przetrzymać. Niby on jeden i drugi choćby taki karbowy naprzykład, szwankowny jest na to, że człowiekowi żebro za żebro zachodzi. Jemu za to i Bóg zapłać nie powiedzą, ale ty haruj na to mówiący, jak to bydle, ni za to—ni za owo—ot, za ten wiatr, co wieje.

— Żeby choć zawiał, toby może na człeku pot obsechł; koszula na mnie mokra, jakby po deszczu.

— Biadacie a sami nie wiecie na co. Ot, zobaczycie jak sobie nasza szóstka z wałem poradzi — powiedział półgłosem do najbliższych, trącając w bok jednego i drugiego. — Jeno cichojcie i dajcie mnie mówić, a zwracając się do Marka, który się w tej chwili mocował z potężną porcyą chleba i jajecznicy:

— Powiedz mi ty, Marek, czyś ty parobek, czy nie parobek?

Chłopak uśmiechnął się głupowato, ale rad był z zaczepki.

— Bez co ja nie miałby być jak i drugi?—wyszeptał.

Odpowiedziano mu chórem śmiechu, na który chłopak pokraśniał na twarzy, ale ta twarz zdradzała zarazem gotowość przekonania, że on jeśli nie lepszy, to z pewnością nie gorszy od reszty.

— Bo widzisz — ciągnął tamten filut, uspokoiwszy znowu słuchaczy — żebyś ty był naprawdę taki otwarty na robotę, jak wypada, tobyś raz musiał pokazać co potrafisz. Przestaliby z ciebie pokpiwać, a tatulo na bezrok zaczęliby się za dziewuchą dla ciebie oglądać.

Chłopaka ta obiecanka ostatnia nie zdawała się kusić, ale chęć popisania się z siłą świeciła mu z oczu.

— A co ja mam robić?

— Albo ja twój gospodarz, żeby ja tobie robotę wyznaczał — ja jeno tak sobie mówię, a ty jakbyś się chciał postawić, to jużbyś ty sobie sposób znalazł. Ale ty gapa jesteś i do śmierci na ciebie będą wołali: głupi Marek.

— No gadaj, co zrobić?

— At, widzisz, żeby tak na mnie, albo i drugiego, to jakbym się chwycił za te sześć pokosów, tobym je duchem ściągnął na wał, zanimby ludzie podwieczorku dojedli.

— A to czemu się nie chwycisz? — zagadnął Marek, resztą przebiegłości się ratując.

— Albo to na mnie głupi Marek wołają, albo i na Józefka. Jakby mnie tak opaskudzili, to jużbym ja im pokazał, co ja potrafię.

— A nie będziecie przezywać?

— To się wie—potwierdził zdrajca, a reszta chłopaków, zrozumiawszy o co chodzi, aż w łąkę pochowała twarze, żeby śmiechem Marka nie spłoszyć.

W tej chwili przemogła w biedaku ambicya. Rzucił niedojedzony podwieczorek, chwycił za grabie i zaczął z zawziętością zgarniać siano. To się wysuwał naprzód, to powracał, aby zająć całe sześć pokosów, podczas gdy bozlitośni psotnicy dworowali sobie ze swojej ofiary.

— A już to że głupi bestya, to głupi—nieprzymierzając jak ciele.

— No, i nie mają to ludzie przekpiwać sobie z takiego.

— Patrzajcie, czapkę ze łba zrzucił, żeby mu lżej było.

— Wstawać! Wstawać! — wołali tymczasem karbowi na gromadę całą, a kiedy podeszli do grupy chłopaków, którzy się wcale podnieść nie myśleli, zapytał jeden:

— A wy, wałkonie, co sobie myślicie?

— Myśwa najęły za siebie parobka. Niech Jędrzej patrzą. Jak drugie dokończą wałów swoich tak, jak Marek naszego, to i my się podniesiem.

Karbowy odszedł, kiwnąwszy ręką, bo co jemu to w gruncie rzeczy szkodziło, byle robota była skończona, ale Antoni Mróz, który dooorywał swojego działka przylegającego do dworskiej łąki, dostrzegł zdaleka co się dzieje, i postawiwszy konie z pługiem, wolnym krokiem zbliżył się do chłopczyny, który zlany potem dokończał właśnie swojego zadania.

— A ty co? zwaryował — co tobie do łba się przyplątało?

— Mówili, że nie zradzę...—bąkał chłopiec nieśmiało.

— A ty zradzisz, prawda? i jutro ani ręką ani nogą nie ruszysz. Kpią z ciebie, głupi i leżą sami, a wyszczerzają zęby.

Chłopak posmutniał na myśl, że cały wysiłek za nic, i odszedł ze spuszczoną głową, wlokąc za sobą grabie, których w istocie utrzymać już nie mógł w ręku. Kiedy się zbliżył do tych, którzy mu rehabilitacyę obiecali, powitał go chór śmiechu, a zanim się wieczór zrobił, mieli wszyscy nową uciechę z głupiego Marka.

Ale biednemu ojcu uciechy ten fakt nie zrobił wcale. Idąc za pługiem powtarzał do siebie półgłosem, zapuszczając od czasu do czasu jedną rękę we włosy, jak to zwykł był czynić, gdy go smutne myśli obsiadły.

— Ot, najcięższej duch ze mnie, to i ludzka poniewierka gotowa. Żebyście przepadli pogany, kiedy w was takie serca twarde nad sierotą. Trzeba to będzie jaki porządek zrobić, bo jego pod kościół wyprawią—ani chybi. A i w Jaśku też cnota akurat do tego.

Łatwiej to jednak robić dobre postanowienia, jak wprowadzić je w wykonanie. A już to rolnikowi zawsze najtrudniej przystąpić do jakiegoś dzieła, które mu od zajęć jego oderwać się nakazuje. Z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc, a w końcu i z roku na rok odkładał Antoni ten porządek, którego konieczność tak trafnie oceniał, a Marek rósł tymczasem, ale ani w przebiegłość, ani w szacunek u ludzi nie wzrastał wcale.

— Ot, niezły byłby z niego może chłopowina — mówili najpobłażliwsi—ale kiedy go w ciemię widać tłukli zamiast po grzbiecie, a w dodatku taka ci, człeku, pokraka, że spojrzeć nie bierze ochota.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



KRONIKA.

Dar filantropijny.

W „Zdrowiu“ znajdujemy zawiadomienie tej treści:

„Jeszcze przed utworzeniem się warszawskiego Towarzystwa hygienicznego baron Lenval wystąpił z propozycyą fundacyi Instytutu hygieny dziecięcej, która stanowić ma jeden z pierwszych artykułów działalności Towarzystwa, a przytem i zachętę do jego dalszego rozwoju. Ofiarodawca w tych słowach formułuje myśl swoją:

„Celem instytutu hygieny dziecięcej jest wszczepianie w dzieci *praktycznie* zasadniczych podstaw hygieny, a tem samem krzewienie i rozpowszechnianie takowej w ludności, w tem przekonaniu, że tylko młode pokolenie przyswoiwszy je sobie, na dalsze przenosić będzie mogło, starszych bowiem ludzi trudno jest wogóle czegokolwiek nauczyć.

Dalej przychodzi stosowanie hygieny profilaktyczne i uzdrawianie dzieci w doraźnych nieszpitalnych wypadkach. Do osiągnięcia tych celów, dzieci obojej płci od niemowlęcego wieku do lat 14 *bez różnicy wyznania*, znaleźć mają w instytucie:

1 o. Kąpiele i natryski *czystości* w szerokiej mierze, jako najskuteczniejsze środki hygieniczne.

2 o. Poradę lekarską; podług tej porady będą dzieci otrzymywać: kąpiele i natryski lecznicze — gimnastykę ortopedyczną — przyrządy ortopedyczne, bandaże i t p.—opatrunki wszelkiego rodzaju, jako to: okaleczeń, oparzeń i t. d, i t. d.

3-o. Udzielanie bielizny dla zastąpienia zbyt brudnej lub podartej, podczas gdy ta ulegać ma praniu w samym instytucie, i o ile można przez same matki.

4-o. Udzielanie matkom przy każdej sposobności przystępnych nauczań w tem co dotyczy karmienia, pielęgnowania i t. d. Do tego celu prowadzą wykłady w godzinach oznaczonych zarówno dla matek, jak i dla dzieci, grupując jedne i drugie wedle wieku i t. d., i t. d.

Ofiarodawca przeznacza na ten cel 90 000 rubli proponując Towarzystwu hygienicznemu, aby ono wzięło na siebie uorganizowanie instytutu. Ze wzmiankowanej summy przeznacza p. Lenval 60,000 rs. na wybudowanie gmachu i urządzenie wewnętrzne instytutu, a pozostałe 30,000 uważać należy jako fundusz żelazny, od którego procenta iść mają na utrzymanie instytutu. Tyle w ogólnych wyrazach powiedzieć możemy o zadaniu instytutu i jego działalności, ale właśnie co do tej ostatniej, wyznajemy, że po pierwszych tych objaśnieniach trudno nam bardzo przychodzi wystawić sobie, jak też to wszystko w wykonaniu wyglądać będzie mogło.

Na wstępie powiada „Zdrowie,” że go wielce raduje między innemi i to także, iż myśl sama jest tak oryginalna, że będzie ona mogła służyć za przykład Europie, *podczas gdy my dotąd niewolniczo tylko nauczyliśmy się chodzić jej śladami i t. d.*

Z tego wolno nam się domyślać, że instytut podobny nie istnieje i nie funkcyonuje nigdzie, a nas znowu uwaga ta zamiast radować, nabawia pewnego niepokoju co do praktycznej właśnie wykonalności programu. Znamy niby maszynę, powiedziano nam również jakie mają być jej funkcye, a mimo to my tej maszyny w ruchu wystawić sobie do tej pory nie możemy. Zapewne naszą to będzie winą, ale przyznajemy się do tego. Może w mniejszem o bardzo wiele niż Warszawa nasza, ognisku ludności, sprawa stałaby się odrazu dostępniejszą, ale w sześćkroćstotysięcznem mieście—terytoryalnie biorąc, rozwleczonem wielce, przy wielu, bardzo wielu innych względach, które pożytek z takiej instytucyi centralnej, nieledwie że uniemożliwiają zupełnie, rzecz przedstawia się nadzwyczajnie niejasno. Przecież to obejmuje całą niemal sferę stosunków początkowo wychowawczych ludności ubogiej—jej karmienie wyłączając, ale za to: oświecanie dorosłych i dzieci, kąpiele, opatrywanie cierpiących, przyodziewanie tych, którym brak odzieży niezbędnej, ortopedya, gimnastyka, i Bóg wie nie co. Nie pojęlibyśmy też całości, gdyby kto nawet w tę otchłań potrzeb nie 90,000, ale dziesięć razy taką summę wrzucić próbował, i gdyby gmach podobny nie w jednem, ale w dziesięciu punktach znalazł gotowym, rozumie się wraz z urządzeniami, organizacyą filantropijną i środkami odpowiednimi.

Ha! wreszcie czas objaśni najlepiej, a my przyznając się do nierozumienia tego, w jaki sposób aparat ten filantropijny z miejsca ruszy, grzechu chyba nie popełniamy.

Tem większa będzie chwała dla tych, którzy całą myśl ofiarodawcy w czyn wprowadzić zdołają.

Z dziennikarskiej idylli.

W jednem z codziennych pism spotykamy rzewną tiradę upominającą się za biednymi konikami zaprzęganymi w porze letniej do naszych powozów, dorożek i wozów. Koniki te, jak powiada proklamacya, nietylko że nie mają należnych im ze wszelkich względów, oznaczonych godzin pracy przez rok cały, ale nawet nikt dla nich na czas upałów o koloniach letnich nie pomyśli. A przecież im się to należy, bo one przyszły na świat po to, aby żyły z przyrodą, podczas gdy my każemy im biegać po twardym bruku. One wzamian za taką opiekę wywdzięczałyby się nam z pewnością lepszą i gorliwszą pracą, a tylko wyzysk nasz i t. d., i t. d.—Wszystkiego przecież powtarzać niepodobno, a zresztą czyż i tego mało?

Musiał szanowny autor artykułu zasłyszeć, że zarząd kolonii letnich nadaremnie wzywa rodziców tych widm, które nazywają dziećmi suteryn naszych, aby się z niemi do zarządu kolonii letnich zgłaszali. Wszystkie one widać już powyjeżdżały, miejsc wakuje bez liku, a fundusze zbywające wysyła zarząd kolonii do banku angielskiego, aby się tam kapitalizowały. Jeżeli takie wiadomości zebrał projektodawca z bruku warszawskiego, to mu się należy wdzięczność, i zapewne, że czas już wielki będzie w takim razie pomyśleć o koloniach dla jego koników zapomnianych.

W istocie, że to dobra rzecz te kolonie letnie. Gdyby je tak stosować jak najobszerniej, wieleby to pozostało niezapisanych bezpotrzeby szpalt, gorycz i żółć tylko poruszających w człowieku, który patrzeć musi trzeźwemi oczyma na to, co go otacza, a czemu w żaden sposób zaradzić nie można.

Gdybyż nam oto naprzykład przynajmniej nie stały w tej chwili w podwórzu na oczach te skulone dwie 8 letnie dziewczynki, o cerze żółtej jak wosk, dla których wiemy z pewnością, że daremnie kołatano o miajsce na kolonie nasze! I dla nich, i dla wielu, bardzo wielu nie starczyło tego miejsca, a tu nadomiar włazi ci oto w rękę takich kilkanaście, a bodaj że kilkadziesiąt wierszy czczej deklamacyi i odbiera resztę spokoju i równowagi. Ależ, dobry panie! ojciec tych dziewczynek kupił przed miesiącem za ostatnie 20 rubli konika, jednego z tych zapewne, którego będziesz chciał zabrać na kolonie, i tym konikiem wożąc piasek z Wisły do budujących się domów, zarabia na całą rodzinę. Więc konik pojedzie, a one zostaną?

Signa temporis.

Donoszą pisma brukowe, iż jakiś pan T. z Radomskiego opracował nowy, oryginalny zupełnie projekt loteryi, którego pierwszą najważniejszą dodatnią stronę stanowi to, iż wypuszczać ma aż 100,000 losów, t. j. wciągać w koło dobroczynnych wpływów swoich parę set tysięcy jednostek może nie pierwszorzędnej intelligencyi, ale za to ożywionych najszczerszą chęcią łatwego a szybkiego zbogacenia się. Druga że na te 100 000 losów wygrywa 60,000, co już zdaniem zapewne pana T. dziełu całemu nadaje barwę niezaprzeczenie wyjątkową, a bodaj że nawet o filantropię zarywa.

Jak to jednakże zmieniają się czasy! Ongi, tak przed stu laty mniej więcej, przyjechał do Berlina słynny szalbierz włoski Giacomo Casanova, a że miał w głowie, niesłychanie płodnej w istocie, tysiące projektów zawsze, więc między innymi dopuszczony do Sans-Souci, wystąpił tam z myślą zaprowadzenia w państwie pruskiem loteryi. No i wystawcie sobie czytelnicy, pomimo że skarb wycieńczonego przez siedmioletnią wojnę młodego królestwa był w rozpaczliwym prawdziwie stanie, pomimo że Fryderyk II do wybredników w środkach, jak to powszechnie wiadomo, wcale nie należał, jednakże i w tem Sans-Souci, w którem się tyle błogosławionych dla świata zrodziło pomysłów, spotkał się Casanova z najwymowniejszą z odmów, to jest ze zwyczajnem ruszeniem ramion. A więc to, co tam było niedosyć etyczne, to się jeszcze za dni naszych roi po biednych głowach ludzi tego kraju. Ależ do miliona nieszczęść, przecież my tego hazardu mamy aż nadto—przecież prócz tego dwa razy do roku przez miesiąc czasu z górą, może każdy pofolgować sobie tak, że przez pozostałe pięć nie zdąży się wygoić z odniesionych uścisków fortuny. Niechby już tedy ów pan T. skoro go tak trawi żądza wyrachowań zużytkował w jakimkolwiek innym kierunku swój geniusz, bo choć dobrze wiemy, że to tylko w dziedzinie niespełnionych marzeń ten jego bogaty pomysł pozostanie z pewnością, ale sama idea, samo zwrócenie myśli w tym kierunku, takie jest wymowne, takie krzyczące, i takie beznadziejne jakieś szczególnie.

Są ludzie, którym nigdy dosyć.

Co słychać dobrego?

Towarzystwo warszawskie wyścigów konnych otrzymało, jak zapewniają pisma codzienne, wezwanie o złożenie szczegółowych rachunków z obrotu totalizatora w ciągu ostatnich trzech lat, i w ostatnim, to jest tegorocznym sezonie wiosennym.

A zatem może to będzie od tak dawna wyglądany przez wielu początek końca.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Marszałkowska 101. * ZEGARKI. • W. RUDNICKI • BIŻUTERYA. * Marszałkowska 101.

697—25—25

SKŁAD ROWERÓW i MASZYN DO SZYCIA ✽ ROBERT WILCZYŃSKI

810—50—26 **ceny możliwie umiarkowane.** LESZNO Nr. 12.

SKŁAD MEBLI MAJSTRÓW STOLARSKICH róg *Marszałkowska 136* *S-to Krzyzkiej 1 piętro.*

916—25—5

Zakład Ogrodniczy

W. Urbańskiego

b. pracownika firmy C. Ulrych oraz współpracownika firmy K. Kozłowski Bracka 11. Wielki wybór roślin, kwiatów ciętych, Bukiekiety, wieńce i dekoracye.

Ceny przystępne. 912—12—6

SZKOŁA KROJU i SZYCIA

MARYI MACIEJOWSKIEJ

System francuzki, nauka dokładna i sumienna. Na żądanie *Patenty cechowe.* Osoby przybyłe z prowincyi mogą znaleźć wygodne pomieszczenie.

NOWY-SWIAT 56, m. 5. 934—12—1

Od Administracyi Albumu Artystycznego

„PANORAMA"

Nowe wydawnictwo albumowe polskie wychodzi w Warszawie zeszytami. Całe wydawnictwo obejmie 24 zeszyty, podzielone na 4 serye.

Serya I **Nasze piękne artystki**, II **Nasi artyści**, III **Obrazy znakomitych malarzy**, IV **Piękne Polki.**

Warunki prenumeraty w Warszawie: Pojedyńczy zeszyt kop. **60**, w przedpłacie za **4** zeszyty po kop. **50** za zeszyt. *Na prowincyi.* Cena pojedynczego zeszytu kop **60** i **10** kop. za przesyłkę pocztową. w przedpłacie za **6** zeszytów rs. **3** kop. **60** wraz z przesyłką.

Wszyscy bez wyjątku posiadacze całego dzieła bez względu czy je nabyli częściowo lub drogą prenumeraty otrzymają

bezpłatne premium

swój własny **portret fotograficzny** matowy na brystolu formatu 40×50 centym. jedynie za złożeniem fotografii. 943—8—1

Adres Administracyi: *Warszawa, Nowy-Świat № 61,* ***A. HINCHA i S-ka.***

Do nabycia we wszystkich księgarniach. Pierwszy zeszyt wyszedł z druku.

A La Parisienne

Szkoła Kroju i Szycia

oraz

Pracownia Sukien

EMILII EHRENKREUTZ

uczennicy Wortha, mistrzyni cechu, z dyplomem paryzkim. Nagrodzona **Medalem** na konkursie krawców w Paryżu za Krój bez poprawek i naukę szycia najpraktyczniejszą.

Warszawa, Chmielna 24, pomiędzy Bracką a Marszałkowską.

929—20—1

---

w VI-klasowem

Progimnazyum Żeńskiem

z Pensyonatem i klasą przygotowawczą

S. TOŁWIŃSKIEJ

Chmielna 48, w Warszawie

zapis uczennic rozpoczyna się 20 Sierpnia egzamina 1 i 2 Września — lekcye 3 Września. 930—3—1



Specyalna reperacya

i pokrycie parasoli **tanio**

Ordynacka Nr. 15.

WILHELM SCHESZ.

931—6—2

Ryga.

w prywatnym pierwszorzędnym zakładzie naukowym żeńskim

Anny Jastrzębskiej. Elisabetstr. 55.

zapis uczennic rozpoczyna się 7/19 Sierpnia. Egzaminy wstępne odbywać się będą 18/30 i 19/31 Sierpnia; lekcye zaczynają się 20 Sierp. (1 Września)—w klasie dla dzieci rozpoczynających naukę 1/13 Wrześn.

944—3—3

WARSZAWSKI ZAKŁAD REPARACYJNY.

W. BŁAŻEJEWSKIEGO.

Widok 24 w Warszawie. 933-5-1

przyjmuje reparacye **maszyn do szycia** wszelkich systemów.

W 6-cio klasowym zakładzie naukowym żeńskim z klasą przygotowawczą i pensyonatem

Jadwigi Kotwickiej

przy ulicy Brackiej Nr. 18, w Warszawie

zapis uczennic na rok szkolny 1898/9 rozpocznie się dnia 20 Sierpnia. Egzaminy dla nowowstępujących odbędą się dnia 1 i 2 Września. Kurs nauk 3 Września. 928—2—2

: OSZCZĘDNOŚĆ :

Nowo otworzona Fabryka Chemiczna

KROCHMALU I PUDRU

SOBOLEWSKI i S-ka

Grochowska 57, w Warszawie,

ma zaszczyt powiadomić Sz. Publikę. iż wypuszczono w handel krochmal pszenny, wyrabiany chemicznie, który ma tę wyższość nad innem, bo użyty jako zwyczajny nadaje bieliznie śnieżnej białości, sztywności, elastyczności i chroni ją od pękania; pod żelazkiem nie waży się i swobodnie daje się bielizna prasować, a to skutkiem zupełnego wydzielenia glutenu czyli kleju, który żółci bieliznę i pozostawia na niej smugi, przez utrzymanie mu znacznej zawartości gumy i czystego krochmalu używa się go znacznie mniej, — użyty na surowo, zastępuje w zupełności ryżowy. Wygląd jego matowy, cena zwyczajna, dostać można w sklepach mydlarskich i na miejscu w fabryce. 892—6—5

NOWO OTWORZONY MAGAZYN MEBLI

F. OLSZEWSKIEGO

w Warszawie, Królewska № 9, parter wejście z bramy 5 dom od Krak. Przedm

POLECA:

Meble stolarskie solidnej roboty z gwarancyą piśmienną dwuletnią za pęknięcie.

Meble tapicerskie, bambusowe, **Dywany, Portjery, Serwety, Materace, Łóżka** żelazne **Wózki, Wanny** etc.

Ceny **nizkie** stałe oznaczone na każdym przedmiocie 921-12-3

Ekspedycya na prowincyę z opakowaniem.

Magazyn przyjmuje zamówienia na kompletne urządzenie całych mieszkań.



Skład aparatów i potrzeb do fotografii

P. LEBIEDZIŃSKIEGO

Krak.-Przedm. Nr. 65. Warszawa. Krak.-Przedm. Nr. 65.

POLECA: Aparaty fotograficzne ręczne najnowszej konstrukcyi od rs. **6** do rs. **200.** Aparaty fotograficzne podróżne. Klisze, papiery fotograficzne chemikalja i wszelkie potrzeby do fotografii.

Towar tylko wyborowy.

Cennik illustrowany na rok 1898 gratis i franco.

Pozostałe z zeszłorocznego sezonu: Aparaty fotograficzne nowe i używane, klisze, papiery i inne przedmioty—wyprzedają się z ustępstwem 30 — 50%

847—12—9

GONIEC ŁÓDZKI

wychodzi od 15 Lutego r. b. codziennie

zamieszcza własne depesze

rozszerzył od 1 Lipca objętość pisma, bez podwyższenia ceny,

posiada obfitą kronikę miejscową, oryginalne korespondencye z kraju całego

posiada własne informacye z zakresu przemysłu i handlu całego zagłębia dąbrowieckiego.

drukuje powieść oryginalną i tłómaczoną

Goniec Łódzki kosztuje 6 rs. rocznie, z przesyłką 8 rs.

Adres: Łódź, Mikołajska Nr. 25.

Marszałkowska ***149.*** 922-12-4 **MAGAZYN MEBLI MAKSYMILIANA KALMUS.** *Marszałkowska* ***149.***

APTEKA K. WENDY 45 Krak.-Przedm. Telefonu Nr. 107.

873-18-14 Istniejąca od czasów elektorów saskich.

Wody mineralne wszelkich źródeł naturalne i sztuczne.

Дозволено Цензурою. Варшава, 30 Іюля 1898 г. Warszawa Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca Jan Skiwski. **DODATEK.**

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

Po odprawionej na cześć brzucha ofierze, arcykapłan tej uroczystości udawał się na chwilowy spoczynek.

Przed zachodem słońca, w towarzystwie kapelana, czasami zaś żony lub córki, przejeżdżał się po gospodarstwie lub po sąsiednim lasku; spotkawszy chłopa, wozem lub piechotą, pytał skąd, gdzie, po co, i zaczem dąży; wracał następnie do domu aby pokrzepić wyczerpane od obiadu siły.

Tak mijał jeden dzień za drugim; Sokolnik w niczem przyjętego trybu życia nie zmieniał.

Pewnego poranku, kucharz dłuższe niż kiedykolwiek miał posłuchanie; kapelan zaś zastał kollatora, wbrew zwyczajom, o niezwykle wczesnej porze już ubranego. Wstążeczka nawet, jakiegoś cesarskiego orderu, połyskała mu u guzika.

Dygnitarz od wczoraj przyjmował w domu gościa.

Szambelan Fürstemberg skorzystał z zaprosin i wybrał się w odwiedziny do polskiego pana, a bardziej jeszcze do jego córki.

Słońce dochodziło południa; wiedeński panicz tylko co był zszedł złożyć dzień dobry damom; gospodarz spieszył go przyjąć.

W salonie, Sokolnikowa pochylona nad misternym kobiecym stolikiem, wyciągała złote nitki ze starego polskiego pasa. Niemiec wsparty niedbale o okno rozmawiał z Maryą, która wodziła błędny wzrok po gęstych klombach świeżo rozkwitłych bzów i jaśminów.

— Mogę pani zaręczyć — mówił Szambelan skrzypiącym lekko głosem — że wcale nie miałem o polskich wioskach złego wyobrażenia. Wierzę w harmonię natury, a dość przypomnieć obraz mieszkanek polskiej ziemi, aby nabrać przekonania, że ramy godnie mu odpowiadają.

Marya przelotnym uśmiechem podziękowała za grzeczność.

— Co do mnie wreszcie — ciągnął dalej Szambelan — jedno pojmuję tylko stopniowanie tak między ludźmi, jak między ich krajami i sposobem życia. Ludzie dobrego urodzenia nie należą do żadnego narodu; stanowią oni jedno towarzystwo, to samo, od Kadyksu aż do Petersburga, z pewnemi odmianami, które tworzą upragnioną we wszystkiem rozmaitość, ale które w żadnym razie nie przypuszczają stopniowania. Pamiętasz pani naszą wiedeńską koteryę, gdzie bylibyśmy mogli zabrać się do budowania wieży Babel, gdyby każdy chciał był mówić swoim językiem? Pomimo to, cudzoziemiec pierwszy raz wprowadzony w nasze grono, z łatwością mógłby uwierzyć, żeśmy się wszyscy urodzili pod jednym dachem.

— Albo też może — przerwała Marya — podobnie jak muzyka jest powszechnym językiem, tak samo w uczuciu natury, piękności, sztuki, spotykają się ludzie z różnych stron świata. Lękam się tylko, abyś pan nie zamykał w zbyt ciasnych granicach osób, składających to towarzystwo.

— Przebacz pani; nie wyłączam żadnego narodu. Każdy kraj ma swoją historyę; swoje nazwiska, jednem słowem, swoich ludzi.

— Zapewne; ale kiedy już mówimy o muzyce, o sztuce, o uczuciu piękności, wtedy nie wolno nam pomijać tych ludzi, którzy, jak ten oto — mówiła, wskazując zwój nót z podpisem Mozarta — zostawili nam tyle dzieł nieocenionej wartości.

— Ha, zgaduję! muzycy, malarze, rzeźbiarze, artyści — masz pani słuszność; są to ludzie wysokich zasług; nie trzeba atoli zapominać, iż to, co nazywam towarzystwem, dla tego odłączam od pani ulubieńców, że bez niego oni byliby niczem, podczas gdy towarzystwo żyjące samo przez się, i dla siebie, śmiało może obejść się bez artystów. Przypuść pani kraj, gdzieby nie było pięknych palców do odgrywania muzycznych utworów, gdzieby nie znalazł się żaden człowiek wykwintnego smaku, mogący zamówić obraz lub rzeźbę; w kraju tym przysięgam pani, Dyogenes z latarnią nie znalazłby ani jednego artysty. Panowie ci są to niejako ożywione kwiaty, piękne w bukietach lub wieńcach, ależ bukietu niepodobna kłaść w gliniane naczynie, do wieńca potrzeba alabastrowych skroni, te zaś, jak pani sama wiesz, w ludziach, Bóg wie skąd powstałych, nie miały jeszcze czasu się wykształcić.

— Ja myślałam, że kiedy artysta tworzy, nie myśli wówczas ani o zysku, ani o kolejach, jakie dzieło jego czekają. Tworzy z myślą, wyłącznie zwróconą ku swemu ideałowi.

— Ideałem zaś tym jest zadowolenie ludzi, którzy potrafią go zrozumieć, a tem samem ocenić i wynagrodzić. Patrz pani na te sztuczne zarysy pałacowego parku! Czyż może być co wdzięczniejszego, jak ta harmonja drzew, krzewów, kwiatów, wody, spadków, pochyłości, wyniesień. W istocie, trzeba być artystą, aby coś podobnego wykonać, ale pan tylko mógł równie piękną myśl w sobie począć. Nie przeczę, że ogrodnik tutejszy jest artystą, niema atoli wątpienia, że bez wyraźnych planów pana hrabiego, bez rozkazów pani hrabiny, a zapewne i bez rad pani, znakomity artysta szczyciłby się dziś tylko kwaterami rzepy i szpinaku, lub w najlepszym razie grzędami słoneczników i piwonii.

— Szambelan krytykuje, widzę, mój ogród— rzekł Sokolnik, który wchodził właśnie na ostatnie słowa rozmowy.

— Wyobraź sobie pan — mówił dalej magnat — że kiedy obejmowałem majątek po ś. p. ojcu moim kasztelanie, ogród ten był wielkim łanem pokrajanym w zagony, lub zarosłym trawą, staremi gruszami, jabłoniami, a nawet tu i owdzie krzakami leszczyny. Właśnie na kilka przedtem miesięcy wróciłem był z Anglii i świeżo miałem w pamięci park jednego z dobrych moich przyjaciół, — księcia Devonshire.

— Pamiętam go; o dwie mile za Londynem, na lewym brzegu Tamizy.

— Ten sam. Na nieszczęście planu z sobą nie wziąłem i z pamięci musiałem zabrać się do dzieła. Ten oto staw, długi na tysiąc sążni a niezbędny—jakże bowiem w pejzażu obejść się bez wody, kosztował mnie po skończonym rachunku, oprócz gotowych pieniędzy, przeszło czterykroć sto tysięcy dni pańszczyzny. Kilkuset ludzi przez trzy lata nad nim pracowało. Z wykopanej ziemi usypałem te pagórki, wyżyny, kopce. Stare drzewa po większej części kazałem wyciąć, porżnąłem wąwozy i sprowadziłem te siwe złomy granitu, które na pozór zdają się tu od wieków spoczywać. Tak przyrządziwszy grunt, złożyłem berło władzy hrabinie. Jej to staraniom zawdzięczamy, te świerkowe i brzozowe laski, klomby, chodniki, gęstwie zieleni, czyli, że tak powiem, całe wystrojenie, wszystkie fjoki ogrodu.

— Kiedyś, jak się to wszystko rozrośnie — odrzekła Sokolnikowa — istotnie będzie czem się pochwalić; dziś, drzewa jeszcze młode, wszędzie prawie brak cienia, wszędzie zanadto światła, za mało rozmaitości.

— Jak się nazywa ten rodzaj róży? — zapytał z niechcenia Sokolnik.

— Róża Burbońska, mój ojcze.

— Bardzo piękna; wolę ją od stulistnej. Co powiadasz Szambelanie o widoku z tego wzgórka? Jeżeli masz bystre oczy, możesz na milę przed sobą rozeznać okolicę.

— A nawet i ludzi—odparł Niemiec, przysłaniając dłonią powieki. Widzisz pan hrabia, w dali, na lewo, tam oto pod lasem, czarny, ruchomy punkt. Jestto powóz zaprzężony czterema końmi.

Marya szybko wbiegła na wzgórek. Na wzmiankę o powozie, mimowolnie uczuła żywsze bicie serca.

— Widzę tuman kurzawy, ale nie poznaję powozu — rzekła głosem lekko wzruszonym, od zmęczenia może, lub też od niewytłumaczonego jakiegoś przeczucia.

Zaczekaj pani chwilę; teraz oto na zakręcie.

— Teraz i ja wyraźnie spostrzegam — dodał Sokolnik.

Podróżny szparko zbliżał się ku pałacowi. Cztery dzielne konie swobodnie unosiły za sobą lekki wiedeński koczyk. Wkrótce już można było dosłyszeć tentent kopyt i turkot kół. Powóz znikł na chwilę między pierwszemi chatami wioski, niebawem zjawił się znowu i skręcił w długą, lipami wysadzaną ulicę. Woźnica, na miejscu przed gankiem osadził spienione konie.

Kazimierz Poraj wyskoczył z powozu.

Marya odgadła nieusprawiedliwioną na pozór przyczynę pierwszego wzruszenia. Jemu również serce silniej zakołatało. Ona, od wyjazdu ze Lwowa jednego dnia nie przepędziła, ażeby o nim nie pomyślała; jemu czas rozłączenia i podróż, śmiertelnie się dłużyły.

Wiosna balsamicznymi powiewy rozwijała drzewa i kwiaty, ziemia dyszała ku Niebu dziewiczymi zapachy, gwar nieustanny pta-

szą't wtórował tajemniczemu weselu natury; za jedną iskrę uczucia można było kupić bezmiar rozkoszy.

Marya, podobnie do owych kwiatów, niezadowolonych widocznie ze słońca, a które drużkom tylko gwiazdom rozchylają kielichy, kryła się sama w sobie przed dziennym blaskiem, wieczorem dopiero gdy błękit roziskrzył się dyamentowym nocnych świateł tumanem, gdy księżyc sypnął snopy promieni na ośnieżone majowem kwieciem drzewa, gdy jął dumać i przeglądać się, i roztapiać smętne oblicze w drżących głębinach stawu, gdy gdzieś między bzami zaprzepaszczony słowik, pełną natchnienia piersią rozjęczał się miłosnym bolem i bolesną miłością, Marya, wtedy dopiero, samotnie wymykała się do ogrodu.

Marya, jak wszystkie dziewczęta uprzywilejowanego rodu, przeznaczoną była do życia w świecie.

Życie w świecie, dziwnem sprzeciwieństwem wyrażenia z pojęciem, zasadzało się na potępieniu, na zaniedbaniu i nieznajomości tego, co stanowiło rzeczywisty świat, wywołując natomiast inny, zmyślony, fałszywy, próchno kryjący pod błyskotkami, nicość pod szumnymi wyrazy, suchy mróz pod udaną lawą wrzących uniesień.

Istotę przeznaczoną do życia w świecie, od pierwszych dni ściskano w pęta przyjętych zwyczajów, głupich przywidzeń i głupszych jeszcze przesądów. Rodzice wychowali dziecię nie dla dziecka, ale dla siebie samych, czyli raczej na okaz przed światem.

Ojciec uważał się za wywiązanego z długu rodzicielskiego, wydawszy pewną summę na wyuczenie córki muzyki, śpiewu, tańca i cudzoziemskich języków. Matka koiła sumienie, wprawiając ją do obrządków religijnych, wodząc do spowiedzi, karmiąc w post rybami iastem. Oboje, we własnem przekonaniu dopięli celu, czego wyraźnie im dowodziły pochlebne do koła sądy o piękności i o starannem wychowaniu Maryi.

Szczęściem, ziarno padło na wdzięczną z przyrodzenia glebę i rozkwitło w bujny kwiat cale innej barwy i wartości, aniżeli te, o jakich marzyli siewacy.

Wrodzone przymioty hrabianki. żywość jej natury, głębokość pojęcia polskim zwłaszcza jobietom właściwa, wlały ducha w materyalne szczegóły jej wiedzy, w martwe formy sztuki, akie próżność rodziców rzucała na pastwę dziewiczej jej ciekawości.

Sokolnik kierował córkę na piękny automat z pozytywką w głowie; Sokolnikowa szukała w niej własnego odzwierciadlenia.

Marya, dzięki swobodzie, w jakiej chowano jedynaczkę, wyrosła na kobietę. Powaby i zalety, w które strojono ją dla świata, ona w zapomnieniu o świecie, przyswoiła dla samej siebie. Wtem leżała możebność jej zbawienia.

Ojciec kazał ją uczyć muzyki, jak zwykle, dla podziwu gości.

Wychowana samotnie, bez rówiennic, przyzwyczajona nad wszystkiem zastanawiać się, marzyć i dumać, Marya wkrótce odgadła ukrytą, prawdziwą stronę sztuki. Pojęła, że muzyka miała swoje eleuzyjskie tajemnice, swoich wybranych arcykapłanów, że jeżeli dla ogółu była grą pokombinowanych dźwięków, przed namaszczonymi natomiast, rosła do potęgi mądrości serca, filozoficznego uczucia.

Sokolnik, uważał talent córki za własną swoją zasługę. Często, wyczerpawszy z gośćmi rozmowę o tytułach i zaszczytach antenatów, o wydatkach w celu powiększenia lub ozdoby majątku, o rozmowach z księciem kanclerzem i z dygnitarzami Cesarstwa, prowadził ich do salonu, gdzie dla urozmaicenia czasu, prosił córkę o wyjątek z nowej opery, o walca kanclerzynej, o marsza księcia Lichtensteina. Nazwiska te, od niechcenia przypięte do utworów muzycznych, utwierdzały w obecnych przekonanie o znajomościach, jakiemi pan domu szczycił się w stolicy.

Marya, na wzór rozsamolubionych w skąpstwie Amfitryonów, miała swój gościnny muzyczny katalog. Składała go zgraja tych hałaśników, jacy w każdej epoce opędzają muzyczne potrzeby gawiedzi, u których harmonia, melodya, natura, ustępują miejsca wrzawie, dyssonansowym wrażeniom, upornym walkom z mechanizmem.

Poważnych mistrzów nietyrała dla powszednich uszu. Ci dotąd, byli jedynymi towarzyszami jej samotności. Przed nimi roztęskniona dziewczyna wypowiadała swoje żale wspomnienia, nadzieje; u nich szukała pociechy na niewytłumaczone smutki, na błędne pogonie za pełną przeczuwanych wrażeń przyszłością; śród nich znajdowała ulgę w gwałtownych biciach serca, w gorączkowych obiegach krwi.

Głos ojca przypominający spóźnioną porę strącał ja nagle na ziemię.

Znikało złudzenie rozwiane zimnym podmuchem rzeczywistości; Marya z westchnieniem zamykała fortepian i dośpiewywała w myśli przerwaną melodyę.

Sprzeciwieństwo to między nią a starszem pokoleniem, bodło ją we wszystkiem.

Sokolnik, od pierwszych lat życia córki, kazał ją uczyć kilku języków. Wiedeńskie salony były zbiegowiskiem ludzi z różnych stron świata; dygnitarz poił się radością na myśl, że wobec zdziwionego tłumu, dziecko jego z Włochem, z Francuzem, z Anglikiem, rozmówi się w rodzinnem każdego narzeczu. Dla niego i dla wielu jemu podobnych, głupstwo wypowiedziane w kilku odmiennych mowach, podrastało do potęgi mądrości.

Marya, do chwili pierwszej nad sobą rozwagi, godnie zadawalała ojcowską próżność. Wkrótce atoli daleko porzuciła za sobą rodziców zaklętych w ciasnem ich kółku zapatrywań, a wiedzy, która dla nich była ostatecznym celem, ona dla siebie użyła za środek.

Sokolnik, rad rozrzucał po stolikach swego salonu bogato oprawne książki. Szczęściem, było to podówczas, gdy zagraniczni księgarze po raz pierwszy powzięli byli myśl ozdobnego panteonowego wydania znakomitych poetów.

Dzięki bogatym okładkom, Dante, Petrarka, Szekspir, Goethe, Szyller, a nawet, przed rokiem zmarły pod Missolongi, poeta angielski Byron, dostali się do galicyjskiego pałacu.

Marya znęcona wykwintnymi pozory, wzięła mistrzów do siebie.

Zaledwie jednak weszła z nimi w bliższą znajomość, wnet poczuła, że przestała do siebie należeć. Jedno było tylko uczucie, gwoli któremu, jak jej się zdawało, pierś przesławnych wieszczów wzbierała natchnieniem. Byłoż ono prawdziwem, istniałoż rzeczywiście, zawierałoż w sobie tyle cudownych potęg, że człowiek niem rażony płakał i wspominał bożemi słowy jak Petrarka, że zdobywał mądrość i zgadywał Stwórcę wszech rzeczy, jak wielki Alighieri, że zatracał myśl, ciało i ducha w głębinach szalonych rozkoszy, jak Romeo, lub w napadzie rozpaczy kończył jak Werther?

Beatrix, Julja, Medora, byłyż to kobiety do niej podobne, wzięte z rzeczywistego życia, lub też senne postacie rozoognionej wyobraźni? Mogłaż dziś młoda kobieta tak samo czuć, kochać, cierpieć, poświęcać się, umierać?...

Marya odsuwała książkę, schylała powieki, tłumiła dłonią nawalne tententy serca i w głąb własnej duszy zapatrzona, szukała odpowiedzi na ten różaniec zapytań.

— Ach, są jeszcze — mówiła sama do siebie wzruszonym głosem — są Desdemony i Gulnary, są jeszcze w naszym kraju kobiety, jak córka Portinarego, jak kochanka niemieckiego samobójcy, ale gdzież szukać Konrada, Otella, Romea, Werthera?

Marya nie śmiała odrazu potępiać jednej połowy rodzaju ludzkiego, oczekiwała więc, wyglądała, otwierała wolny wstęp przekonaniu opartemu na rzeczywistości.

Nawał podobnych myśli, roziskrzonych ciekawoscią serca, odbił piętno na jej postaci.

Z głową nieco naprzód skłonioną, słaniała się raczej, niż chodziła. Pędzona z jednej ostateczności w drugą, z gorączkowego często wesela wpadała w głębokie zamyślenia. Nieraz, pochylona u stóp matki, przez długie chwile słuchała rozmów jej z kapelanem, a Sokolnikowa cieszyła się w duszy gorliwością, z jaką córka nakłaniała ucha religijnym księdza Tapczyca przestrogom.

Marya słuchała, ale nie słyszała. Jednostajny dźwięk zapytań i odpowiedzi, bogobojnych westchnień i katechizmowych prawideł, pozwalały jej, kołysząc się szmerem słów uciekać w kraje, o jakich kapelan miał niedokładne, Sokolnikowa zaś żadnego wyobrażenia. Rozpieszczona dziewczyna, pomimo to, wcale nie lekceważyła religijnych przekonań matki, ani prawd wypowiadanych giętkim językiem Tapczyca. Przeciwnie; żywiła ona gorącą cześć dla swojej patronki, w uroczystym zebraniu myśli często rozpamiętywała cnoty Zbawiciela, unosiła się nad łagodnem jego dla błędów ludzkich wyrozumieniem, nad miłością nawet ku wrogom, nad zaofiarowaniem się nawet za niegodnych.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przedmioty Gospodarstwa Domowego *Jerozolimska 72* — **MAGAZYN „METROPOL"** — **Sprzedaż za gotówkę i NA RATY od 30 kop. tygodniowo** *Jerozolimska 72* 766—50-46

TOWARZYSTWO AKCYJNE

WŁ. GOSTYŃSKI I S-KA

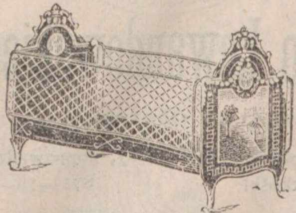
Skład fabryczny: Wierzbowa 3.

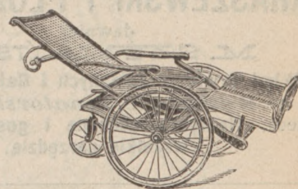
Filje: w Łodzi: Piotrkowska 81, w Moskwie: Rożdiestwienka, dom Tretjakowych.

FABRYKA WYROBÓW ŻELAZNYCH

WARSZAWA, Mokotowska Nr. 3.

POSIADA NA SKŁADZIE W WIELKIM WYBORZE:





MEBLE ZELAZNE wszelkiego rodzaju: ogrodowe, domowe, szkolne, szpitalne i dla sal chirurgicznych; **Wózki i Welocypedy dziecinne;** Łóżka systemu angielskiego i wiedeńskiego. **Konstrukcye Żelazne:** mosty, wiązania dachowe, oranżerye i t. p., **okna, drzwi, bramy, kraty, balkony,** schody wszelkich konstrukcyi, okiennice składane patentowane. **Wagony Pasażerskie i Towarowe** dla dróg żelaznych podjazdowych. **Kolejki wązkotorowe:** stałe i przenośne oraz wagonetki i taczki wszelkich typów; **Narzędzia kolejowe. Lewary. Slusarstwo ozdobne i Stylowe:** okucia, świeczniki, latarnie, pomniki, żyrandole. **Wyroby blacharskie i kotlarskie:** wanny, piecyki, prysznice, lodownie pokojowe, kubły, klozety, rezerwoary. **Odlewy żelazne,** drzwiczki hermetyczne do pieców. Ruszty. **Prasy do kopjowania. URZĄDZENIA STAJEN I ŁAŹNI.**

CENNIKI NA ŻĄDANIE BEZPŁATNIE. 901—25—5

Gabinet-dentystyczny.

ze specyalną pracownią do wstawiania

ZĘBÓW SZTUCZNYCH

od **1** do **10** rub. za sztukę

818-52-24 **przyjęcie od 9 do 6:**

Chmielna N-r 16. m. 4.

SKŁAD

SZKŁA, KRYSZTAŁÓW, PORCELANY, FAJANSU, MAJOLIKI,

oraz 585—25-25

własna malarnia na porcelanie

T. Z. OSIŃSKIEGO

Warszawa, Marszałkowska № 142.

WYBÓR WIELKI. CENY NIZKIE.

W. KONOPACKA,

Nowogrodzka Nr 9, 1 piętro.

Pracownia sukien i okryć wykonywa obstalunki z własnych jak i z powierzonych materyałów, wykwintnie po cenach przystępnych, według ostatnich wzorów 706-25-24

Egzystująca od roku 1879

FABRYKA NOŻOWNICZA

i Wyrobów Stalowych

KAROLA KALINOWSKIEGO,

dawniej Przewoskiego.

Poleca gotowe wszelkie wyroby nożownicze. Obstalunki i reparacye po cenach możliwie niskich, stałych.—**Fabryka: Marszałkowska 13, sklep: Rymarska 20.** 774-25-18

Dla Pań malujących

Farby, Przybory Artystyczno Malarskie, Wzory, Szkice, Rzeźby i t. p. poleca Skład

T. CZARNOCKIEGO

101, Marszałkowska 101,

w WARSZAWIE. 812-50-25

„GABRYELA"

Magazyn kapeluszy damskich i dziecinnych,

Pracownia sukien

I NAUKA KROJU

oraz NAUKA STROJÓW.

Chmielna N-r 19, mieszkania 10.

814—25—13

ZAKŁAD TAPICERSKI

A. TELATYCKIEGO,

Hoża № 20, 816—25—14

Przyjmuje wszelkie obstalunki w zakres specyalności.

NOWY ZARZĄD

CZYTELNIA DLA KOBIET

Warecka 9.

Stale zaopatruje z nowości wszystkie działy. Bogaty dobór dzieł powieściowych oraz klasycznych w 5 językach. Dla abonentek bez dopłaty 18 czasopism w 4 językach. Abonament miesięcznie **40** kop. 817—32—7

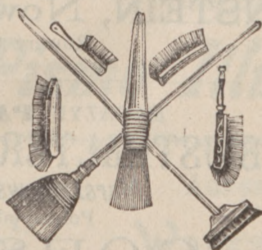
Wysyłka na prowincyę.

Nagrodzony najwyższemi nagrodami na wszystkich wystawach

ZAKŁAD ORTOPEDYCZNY

MAURYCEGO ERLICH 809—24—5

ucznia **Mathieugo** w Paryżu, prostowanie wszelkich skrzywień kostnych stosownemi aparatami za wskazówką pp. lekarzy. Zakład egzystuje przeszło lat dwadzieścia i powołuje się na najpierwsze miejscowe powagi lekarskie. **Warecka 10.**



FABRYKA SZCZOTEK I PĘDZLI

ALEKSANDRA FEIST

w Warszawie, Senatorska 24,

zwraca uwagę na dogodny sposób przesyłania towaru przez zaliczenie pocztowe lub kolejowe. Najmniejsza ilość towarów dla użytku domowego, toaletowego lub zakładów fabrycznych przesłaną być może. 844-12-10

Fabryka konkuruje nie ceną lecz dobrocią towaru.

Pracownia Sukien i Okryć Damskich 709-25-24

Maryi RYGIER

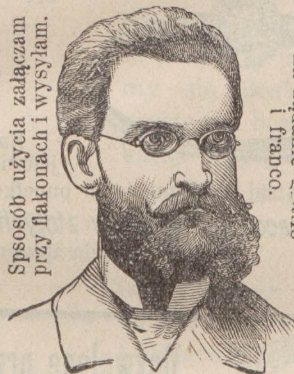
w Warszawie, Aleja Jerozolimska Nr 43, m. 10, druga brama, parter.

PIERWSZORZĘDNE BIURO NAUCZYCIELSKIE

Felicyi Ginejko przy zakładzie froeblowskim ***Jadwigi Chrząszczewskiej***

w Warszawie, Nowy-Świat 21. 804-8-5

Przygotowanie i sprzedaż dozwolone na ogólnych zasadach handlu.



Sposób użycia załączam przy flakonach i wysyłam na żądanie gratis i franco. 815—13—7

CAPILLIFER

ŚRODEK

wzmacniający cebulki włosów niszczący łupież i mikroby, wskutek czego rosną gęste i mocne włosy, co stwierdzono długoletnią praktyką. Ceny flakonów stałe: rs. **1** kop. **20, 2, 3, 4** i **6** rubli. **Mydła specyalne do włosów po 20, 30 i 40 kop. sz.** Pozwolenie Urzędu Lekarskiego za Nr. 1036. Aby uniknąć naśladownictwa, wyłączna sprzedaż u wynalazcy

T. L. GRABOWSKIEGO

Aleja Jerozolimska Nr. 70.

Obstalunki od rs. 2 załatwiam za zaliczeniem.

SPRZEDAŻ MASZYN DO SZYCIA

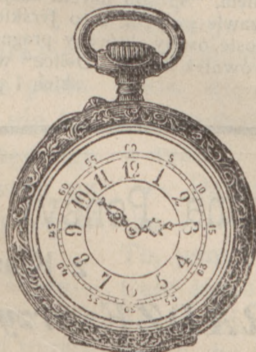
ulepszonego systemu SINGERA

na rozpłaty tygodniowe, za gotówkę 15% rab.

Józef RABINOWICZ

Leszno Nr. 24, m. 6. 821—25—12

!! TANIE, PRAKTYCZNE I KORZYSTNE !!



Ozdobne i trwałe kieszonkowe zegarki męzkie, odkryte, remontuar, t. j. nakręcane bez klucza, ze szkłem ochraniającym od kurzu, trwałym mechanizmem, grubo złocone, niczem nie różniące się od prawdziwych złotych, z **ozdobnym łańcuszkiem** z nowego złota amerykańskiego

TYLKO za 5 rubli.

Gwarancya piśmienna na 6 lat.

Zegarki, dokładnie wyregulowane, wysyłamy po otrzymaniu 1 rs. zadatku.

ADRES: FIRMA HANDLOWA

Braci WARKOWICKICH

827—25—12

Skład genewskich i francuskich zegarów w Warszawie, Królewska № 29.

Dr. A. BUCKIEWICZ

Wilcza Nr. 28.

Choroby **wewnętrzne** (zwłaszcza „reumatyzmy" i „nerwowość") oraz skórne (np. wilki, liszaje, plamy skrofuły etc.) mające związek z chorobami wewnętrznemi, tudzież zapalenie skrofuliczne oczu. Środy; czwartki, piątki i soboty od **11—1** i od **5—6**, niedziele i święta **9—10** rano. Biednych bezpłatnie. 936—12—1

POŃCZOCHY w wielkim wyborze damskie, dziecinne z dubeltowemi kolankami i skarpetki trwałe, niewypierające się i dobrym fasonem poleca:

K. FIJAŁKOWSKA

10. Maryańska 10.

Kupującym tuzin chociażby różnych gatunków rabat. 823—12—12

Wincenty Węgierski

Freta Nr. 13

Długoletni współpracownik firmy

854-26-10 **B. HERSE**

otworzył pracownię

Sukien i Okryć damskich

SPECYALNY SKŁAD

Podszewek oraz wszelkich przyborów dla pp. Magazynierek 859—26—9

TOWARY NORYMBERSKIE

Antonina Plichta

Ś-to Krzyzka № 8.

CENY NAJNIŻSZE.

ZAKŁD GALWANICZNY

JANA ZABOKLICKIEGO

b. Galwanizera firmy „Iflanda i p. Filipskiego"

Senatorska №. 28-30,

(dom Hr. Zamojskiego)

Przyjmuje złocenie, srebrzenie, niklowanie i oksydowanie wszelkich metali.

894—25—5

Nowy Zakład Naukowy Żeński

z pensyonatem w Warszawie

BRONISŁAWY JASTRZĘBOWSKIEJ

otwartym zostanie z początkiem Września 1898 r.

Zapisy do klasy wstępnej, pierwszej, drugiej i trzeciej odbywają się codziennie w lokalu pensyonatu Marszałkowska 74.

896A—4—3

SPECYALNY ZAKŁAD

Reparacyi maszyn do szycia

W. KALINOWSKI

Wspólna Nr. 15 785-50-34

Maszynki do mięsa bez noży

Maszynki do wyjmowania pestek z wiśni

Maszynki do zszywania próbek

Rowery damskie 898-15-8

polecają:

JULJUSZ HEGNER i S-ka

WARSZAWA

Plac Ś-go Aleksandra № 8.

Nowo-otworzony
MAGAZYN MÓD
KAZIMIERY
ulica Świętokrzyzka Nr 32,
828—26—12 w Warszawie.
CENY PRZYSTĘPNE.

KRASZEWSKI i PŁODOWSKI
dawniej
M. SZYMAŃSKI
Skład Towarów Żelaznych i Galanteryjnych
w Warszawie, Senatorska № 10
poleca: **Naczynia kuchenne i gospodarcze oraz wszelkie narzędzia.** 913-28-2

Była Nauczycielka
przyjmuje na stancyę kształcące się panienki w różnych zakładach naukowych. 923- -3
Fortepian na miejscu. Cena nizka
Złota 36—33.

„Sudorivorat"
Potniki do obuwia mężkiego i damskiego. Obstalunki od rs. 3 załatwiam za zaliczeniami. Nowy Świat 61. 908-24-6

ZAKŁAD OGRODNICZY
Zygmunta Pełczyńskiego
w Warszawie, ul. Senatorska № 12.
były pałac Blanka
Ogród ulica Szczęśliwa № 6.
Przyjmuje wszelkie zlecenia w zakres ogrodnictwa wchodzące, a mianowicie: **Kosze, Bukiety, Wieńce, Żardynierki, Girlandy, Dekoracje w domach i kościołach,** i t. p. 915-12-3
Ceny przystępne.

W.W. Paniom
Wyborowe i zawsze świeże
Ciasta i Cukry
poleca 914—20—6
CUKIERNIA
W. Ładewskiego
Leszno Nr. 14.

MAGAZYN
MEBLI A. JÓZEFOWICZA
Nowy-Świat 28
Filia: Niecała 14
Życzącym Na **RATY.**
941—13—1

DENTYSTA CHWAT
Królewska 29.
Specyalność: Leczenie i plombowanie zębów — **Zęby sztuczne** od 9-ej do 11-ej rano wyjmowanie chorych zębów pod **Chloroformem** w obecności lekarza. 937 25-1

KAKAO, CZEKOLADĘ,
CUKRY
DESEROWE,
CZEKOLADKI
poleca
883-25-9
W. TRUSZKOWSKI
FABRYKA Krak.-Przed. 17

MAGAZYN MÓD
i Pracownia Kwiatów Sztucznych
podług modeli Paryzkich 902—24—4
A. OJRZANOWSKIEJ
w Warszawie, Rymarska Nr. 2.
Poleca na każden sezon kwiaty, girlandy ślubne oraz wielki wybór kapeluszy gotowych. Przyjmuje wszelkie obstalunki. Ceny umiarkowane.

Do nabycia w księgarniach podręcznik naukowy pedagoga **Reussnera**
„SAMOUCZEK"
Polsko - Francuski, najlepsza, najnowsza, najłatwiejsza metoda do bardzo prędkiego nauczenia się francuskiego języka **bez nauczyciela,** z objaśnieniem wymowy i akcentowania, **I-szy kurs 13** zeszytów, **II-gi kurs 24** zeszyty. **Gramatyka Polsko-Francuska, 10** zeszytów, każdy po kop. 15 (pocztą kop. 18). Na zaliczkę pocztową wysyła się **tylko 20, 10,** lub przynajmniej **6 zeszytów.** Każdy nabywający wszystkie **47 zeszytów „Samouczka"** wprost **od autora,** otrzyma jako **premium bezpłatne** dzieło wartości rs. 1 kop **20.**
SAMOUCZEK Polsko-Rosyjski Kurs Niższy wyszedł z druku w 14 zeszytach, Kurs Wyższy zaś wychodzi zeszytami po kop. 10 (pocztą kop. 13.) Tak **Samouczek Francuski,** jak również **Rosyjski,** został opracowany na wyraźne **żądanie** i dopominanie się **Sz. Publiczności** i **Pp. Pedagogów.** Skład główny u autora **(v. Reussnera),** ul. **Złota № 6,** w Warszawie. 920-11-1



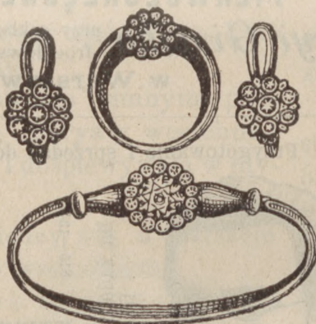
Skóry z Dzików, Lisów, Jeleni, Żubrów i t. d na futra i na dywany wyprawia miękko, czysto i trwale zabezpieczając je od moli
ZAKŁAD
Konstantego Lewandowskiego
w Warszawie, ul. Oboźna № 4.
Wyprawia także skóry z Łabędzi, Kaczek i Gęsi. Odczyszcza wszelkie skóry, doprowadzając je do pierwszej czystości i miękkości. 871—15—4

---

od rs. 125 ROWERY DAMSKIE od rs. 125
poleca Skład Angielsko-Belgijskiej fabryki
„MERCURY"
A. BORNSTEIN, Nowy-Świat 66.
905—12—8 Rowery te odznaczają się elegancyą, trwałością i lekkością.

MAGAZYN **PATENTOWANYCH**
BIUSTHALTERÓW SZYNDLERA
Marszałkowska 118 I-e piętro.
Poleca także wielki wybór
GORSETÓW
według najpierwszych modeli zagranicznych z najlepszych materyałów po cenach przystępnych. 776A-20-17

SPECYALNIE NA PODARUNKI
Elegancki, złoty matowy garnitur 56 próby,
złożony z **bransolety, pierścienia, pary kolczyków i broszy, kameryzowanych,** t. j. osypanych dokoła paryskimi imitacyjnemi brylantami, **z prawdziwym ametystem** pośrodku

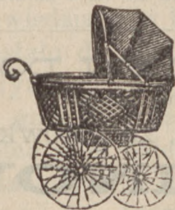


tylko za 25 rs. 50 kop.
Na życzenie zamawiającego można nabywać i pojedyncze przedmioty, jak również - niekameryzowane.
Wysyła się w eleganckiem pudełku atłasowem po otrzymaniu 2 rs. zadatku.
Adres: *Pracownia wyrobów złotych.* **M. GOLDENBERG** *w Warszawie, Graniczna 9.*
Firma posiada liczne podziękowania piśmienne. 927—25-1

Dozwolone przez Władzę Lekarską
na ogólnych zasadach handlu
Délice (Delis)
Wynalazek Towarzystwa Przemysłowego przetworów Chemicznych w Paryżu Compagnie Industrielle de produits chimique á Paris). Zbiór roślin Alpejskich, służących do domowego wyrabiania francuzkich likierów żółtego i zielonego **„Chartreuse"** et **„Benedictine"** pod względem smaku, zapachu i koloru w niczem nie ustępujących likierom wyrabianym we Francyi. Butelka likieru z roślin **Delice** wynosi od 75 do 90 kop., gdy tymczasem butelka fabrycznego likieru francuzkiego kosztuje od rs. 5 do 7. Cena jednego pudełka „Délice" bez kosztów przesyłki kop. 50, przy zamówieniach nie mniej niż 10 pudełek koszta przesyłki się nie liczą i zamówienia wysyłają się za zaliczeniem. Sposób użycia znajduje się przy każdem pudełku. Miejsce sprzedaży w Warszawie przy ul. S-to Jerskiej nr. 28 u Ch. Kamienomostskiego, do którego zechcą się zgłosić osoby, któreby pragnęły mieć wyłączną sprzedaż w pewnych rajonach. Można również dostać „Delice" we wszystkich znaczniejszych zakładach aptekarskich i gastronomicznych.
900—10—4

---

116. MARSZAŁKOWSKA 116.
Mebli żelaznych, Wózków i Welocypedów dziecinnych
SKŁAD FABRYCZNY
z oddziałem pościelowym
J. Neufelda, w Warszawie.
MARSZAŁKOWSKA 116.
Poleca swe wyroby i artykuły pościelowe po cenach fabrycznych nizkich. Cenniki na żądanie gratis i franco. 695-26 25
Adres dla listów: **Pańska 33 (fabryka).**



GEBETHNER i WOLFF
17. Krakowskie-Przedmieście 17.
864 50—15 NAJWIĘKSZY W KRAJU
Skład Fortepianów
Pianin i Organów



WYNAJEM. Sprzedaż na raty.

MAGAZYN
Obuwia Damskiego i Dziecinnego
W. GARNUSZEWSKIEJ
w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście 5. 911-25-2

Przełożona Pensyi 3-y Klasowej Żeńskiej
z Klasą wstępną
na PRADZE, przy ulicy Targowej N-r 45,
ZOFIA ŁABUSIEWICZ
zawiadamia, iż zapisy uczennic tak przychodnich jak pensyonarek, na warunkach przystępnych, odbywać się będą od dnia 10 sierpnia od 2 do 6-ej. 940—6-1